rok II

MŁODY NURT

nr. 3



15 gr.

PISMO

UWAGA! **UWAGA!**

Z powodu licznie napływających próśb, przesuwamy termin nadsyłania prac na

WIELKI KONKURS WAKACYJNY

do dnia 15 listopada 1938 r.

Okazja dla wszystkich, którzy jeszcze nie zabrali się do pracy.

Łatwość spełnienia warunków Konkursu i obfita ilość cennych nagród niewątpliwie są pociągające.

Szczegóły o warunkach Konkursu i spis nagród w numerach 1(4) i 2(5) Młodego Nurtu.

CZEKAMY!

24-LECIE CZYNU LEGIONOWEGO W KIELCACH.

Rocznica pamięci czynu legionowego zbiegła się z datą wkroczenia wojsk polskich na Śląsk Zaolzański. Drogie sercu polskiemu dwie uroczystości, tamta historyczna i ta dzisiejsza, są pełną wymową swego znaczenia i wielkiej doniosłości.

Kielce były widownią pierwszych walk Komendanta Józefa Piłsudskiego i jego Legionów.

W dniu 2 października, w 24 letnią rocznicę, czynu legionowego, odbyły się uroczystości poświęcenia sanktuarium pamiątek po Marszałku Piłsudskim i odsłonięcia pomnika Legionów (rzeźba prof. Raszki).

Okolicznościowe przemówienie wygłosił, dokonywujący odsłonięcia w imieniu Pana Prezydenta i Marszałka Śmigłego-Rydza, inspektor armii gen. K. Sosnkowski. Wnikliwa treść przemówienia, nacechowana drogimi wspomnieniami legionisty, wybiegała daleko w przyszłość. Troska o wielką przyszłość Polski nakazuje wszystkim Polakom podjęcie trudu pracy, bo „zegar dziejowy wskazuje już późną godzinę".

KOPIEC H. SIENKIEWICZA.

W Okrzei, miejscu urodzenia Henryka Sienkiewicza, został poświęcony w dniu 2 października br. kopiec, wzniesiony na jego cześć. Protektorami uroczystości byli Pan Prezydent Ignacy Mościcki, P. Marszałek Śmigły - Rydz i Ks. Prymas Hlond.

KONGRES DZIECKA.

W niedzielę dnia 2.X br. dokonano uroczystego otwarcia w sali kina Roma w Warszawie Kongresu Dziecka, który trwał przez 3 kolejne dni. Kongres ujawnił potrzebę i konieczność zajęcia się i roztoczenia opieki nad najmłodszym pokoleniem Polski.

Po południu tego dnia została otwarta wystawa „Dziecko w Polsce".

TYDZIEŃ L. O. P. P.

W dniach od 25.IX—2.X obchodziliśmy na ziemiach polskich Tydzień L.O.P.P. Tydzień odbywał się w wyjątkowych warunkach, w chwili najwyższego napięcia politycznego. Noszone przez policję i tramwajarzy z tytułu tygodnia L.O.P.P.-u maski przeciwgazowe dodawały powagi i grozy ciężkiej chwili.

L.O.P.P. pomnożył znowóż swoje szeregi, a to dzięki należytej propagandzie.

INAUGURACJA ROKU AKADEMICKIEGO.

Na wszystkich wyższych uczelniach w Polsce odbyły się uroczystości, związane z początkiem roku szkolnego. Nasze starsze Koleżanki i Koledzy rozpoczynają nowy okres życia i czasu, ciężki nie tylko pracą w laboratoriach i seminariach, ale i niejednokrotnie gonitwą za prymitywnymi potrzebami dnia, za utrzymaniem, za zdobyciem gotówki, koniecznej dla uiszczenia opłaty. Z trudem chłonięcia wiedzy, połączony jest trud życia. Wszystkim życzymy dużo hartu, woli i samozaparcia, przezwyciężenia spiętrzonych trudności i chlubnego w końca roku zwycięstwa.

ZAJĘCIE WILNA w r. 1920.

W dniu 8 października minęła 18-nasta rocznica zajęcia Wilna przez gen. Żelichowskiego.

SEJM CZTEROLETNI — 150 ROCZNICA.

Prasa codzienna poświęca wspomnieniu 150-letniej rocznicy Sejmu Czteroletniego, notatki podkreślające jego wielkość i znaczenie.

Rocznica otwarcia przypada na pierwszą połowę września.

MŁODY NURT

D W U T Y G O D N I K

Nr 3(6) ROK II
15 PAŹDZIERNIKA
1938 ROKU



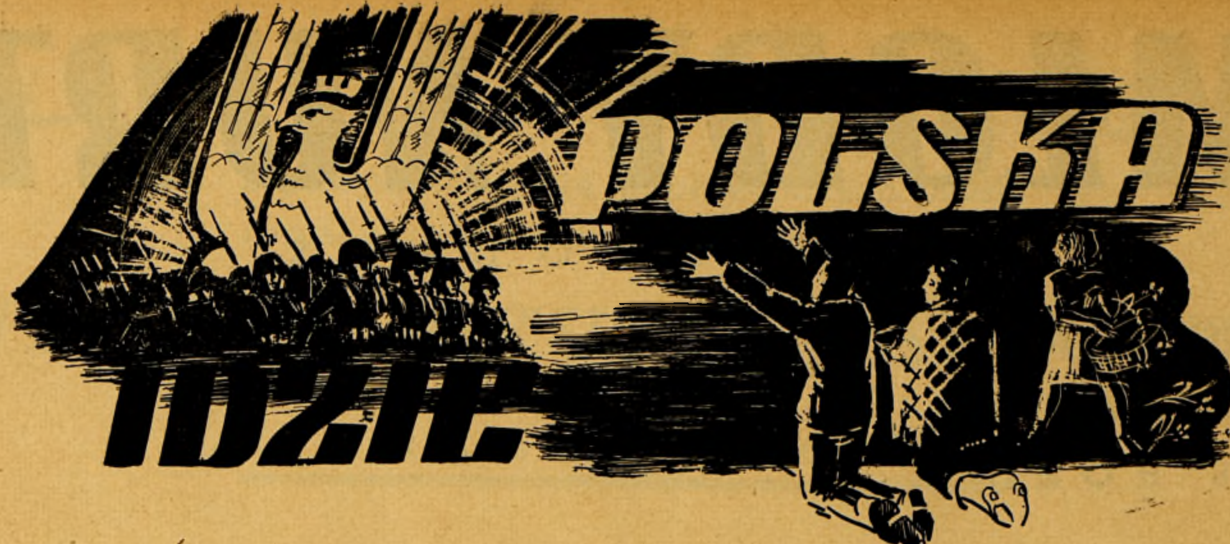
TRZYNIEC
Odzyskana ziemia

ZŁĄCZENI WSPÓLNYM, WIELKIM UCZUCIEM NARODOWYM Z POWODU ODZYSKANIA ŚLĄSKA ZAOLZAŃSKIEGO

WITAMY WSZYSTKICH BRACI-RODAKÓW,

WITAMY W POMNOŻONYCH SZEREGACH NASZE KOLEŻANKI I NASZYCH KOLEGÓW Z GIMNAZJUM W ORŁOWEJ.

KOMITET REDAKCYJNY
„MŁODEGO NURTU"



Załopotały sztandary, rozstąpił się tłum, bo oto Dostojna w Najwyższym Majestacie, odziana odświętną szatą godową, Polska śpieszyła powitać powracających na jej łono synów. Kroczyła miarowym, ciężkim jak ołów krokiem żołnierza polskiego.

Synowie wyszli naprzeciw:

„Witajcie — od dziś wiecznie z nami rodacy!"

Runęły potężne słupy graniczne, ożywiły się mosty.

Maszerować... kazano.

Padły pierwsze powitania: bracie...!, a z nimi wielkie matczyne łzy radości.

Przesunęła się wskazówka zegara dziejowego... Odwróciła się karta historii.

I znowu razem.

Wymienna fala uczuć narodowych, wzniesiona hen w obłoki, przyniosła tamtym zza Olzy radosne, oczekiwane, wymarzone słowo — Polska.

Dzień drugiego października roku tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego — zapisał historyk, zapisała niewidoma ręka w milionach polskich dusz.

Zwycięstwo, wolą narodu dokonane, nie ujdzie pamięci.

Zwycięstwo da siłę dźwigania Majestatu Polski wzwyż, w górę.

Zbratani, złączeni najwyższym dla Niej uczuciem miłości — przysięgamy, młodzieńcze z ław szkolnych ślemy ślubowanie, że z wiarą w moc ducha narodu, z pamięcią o tamtych, wielkich dniach, pójdziemy na front do pracy o wielkość i potęgę Najjaśniejszej Pani.

Siły nasze składamy w dani Tym, którzy powiodą nas ku Jej chwale.

Dumną i wielką, jak Tę, co kroczyła przez Olzę, chcemy Ją widzieć po wsze czasy.

ODWRÓCONA KARTA HISTORII

Dzień 2 października przeszedł już do historii.

Pamięć jego święcimy dziś serdecznym wspomnieniem i ponowioną przysięgą, że zawsze taką, jak tam nad Olzą, niezłomną wolą narodu stwarzać będziemy wielką przyszłość, że gloria zwycięstwa nie przysłoni nam czarnej rzeczywistości, że nie spoczniemy na laurach.

Dla nas, młodych świadków historycznych dni, zwycięstwo nadolzańskie nosi więcej wyrazu ponad nieopisaną nawet, żywiołową radość narodową, ponad triumf polityki pokojowej. Uczmy się tylko czytać, czerpać wiedzę narodową, wyciągać wnioski z zachodzących faktów, z dokonującej się rzeczywistości. Rzućmy raz jeszcze uważnym okiem na minioną przeszłość, odsłońmy oblicze niedawnych dni, a wnioski może przyjdą same. Przyjdą niewątpliwie, bo są ponadrozumowe, ważne, konieczne.

Zaczęło się od Sudetów. Ponad pięćdziesięcioprocentowa ludność niemiecka ogarnięta szałem tworzenia wielkich Niemiec pod wodzą Hitlera, zażądała oderwania od Czechosłowacji i powrotu do Ojczyzny. Kongres w Norymberdze utrwalił pozycję, dodał otuchy.

Wojna wydała się nieunikniona.

Wysłannik pokojowej Europy, premier Anglii Cham-

berlain, w dwu kolejnych konferencjach z kanclerzem Rzeszy, w Berchtesgaden i Godesbergu, oddala na dni kilka widmo grożącej wojny.

Monachijska konferencja czterech z udziałem Anglii, Francji, Włoch i Niemiec, a bez zainteresowanej bezpośrednio Czechosłowacji, przecięła definitywnie węzeł Gordyjski. Sudety drogą pokojową wróciły do Niemiec. Zmuszony nieustępliwą koniecznością rząd czeski przyjął ciężki wyrok.

A Polska...?

Polska skupioną wolą narodu, bez obcej pomocy i udziału w pokojowych konferencjach odniosła triumf w słusznej sprawie. Rząd Rzeczypospolitej, jako tłumacz woli mas narodowych, Pradze przedstawił minimalny, a słuszny program swych żądań.



Przy dawnym słupie granicznym

Ultimatum odniosło właściwy skutek. Dwa słowiańskie narody porozumiały się mimo tyluletniej niezgody bez ingerencji czynników trzecich.

W dniu 1 października pozytywna odpowiedź Czech na żądania Polaków, zmieniła oblicze sprawy, z racji której naród polski gotowy był do zbrojnych przedsięwzięć.

Entuzjazm narodowy nie miał granic; rozwiązanie Korpusu Zaolzańskiego, mowy Marszałka Śmigłego - Rydza i min. J. Becka zmieniły się w żywiołowe manifestacje.

W historycznym dniu 2 października runęła sztuczna dotychczas granica.

Wojsko Rzeczypospolitej pod wodzą gen. Bortnowskiego wkroczyło o godz. 14 tego dnia na zwrócone ziemie Zaolzańskie.

„Żołnierze...! Za chwilę przekroczycie Olzę, skazaną w ciągu długich lat na upokarzającą służbę rzekę, oznaczającą granicę nieistniejącą ani w sercach tych, co oba brzegi jej zamieszkują, ani w sercach całego narodu polskiego. — Dziś Olza staje się inną rzeką" — donośnym głosem rozkazywał Marszałek swoim podwładnym żołnierzom. A echo jego głosu zrozumieli Rodacy zza Olzy, zrozumiał cały naród.



Wojewoda Grażyński w Cieszynie

Wymowne fakty przemówiły swą wielkością.

Czynu zespolenia dokonała nieustępliwa postawa Rodaków zza Olzy i niezłomna wola zwycięstwa całego narodu.

Zbrojne powstania, ofiary w starszym społeczeństwie, młodzieży, harcerzach — z drugiej strony rosnące szeregi Korpusu Zaolzańskiego pozwoliły żołnierzowi polskiemu w bezkrwawym pochodzie złączyć sztucznie rozdzielone ziemie i zgodnym rytmem bijące serca Polaków.

Łzami radości witali się bracia.



Ślązaczka

Witana girlandą potężnych uczuć i strojnymi bukietami kwiatów, armia stała się ucieleśnieniem potężnej Polski.

Prastare ziemie polskie powróciły do Macierzy.

Dwa powiaty, cieszyński i frysztacki rozciągnione na 800-kilometrowej powierzchni oddały Polsce 240 tys. Polaków, swą łączność z Macierzą potwierdzali dowodami krwi.

Wraz z ziemią Zaolzańską zdobyła Polska ważny **ośrodek górniczy, hutniczy i przemysłowy.** Gospodarka narodowa wzbogaciła się o kilka koksowni w Zagłębiu Ostrawsko - Karwińskim, dających około miliona tonn węgla rocznie, o huty żelazne, stalownie, fabryki metalurgiczne w Trzyńcu, o potężne lasy, ziemie i tereny turystyczne w innych miejscowościach.

Trudny wybór. Nie wiadomo, czy to jest ważniejsze, że odzyskaliśmy szmat ziemi z bogactwami i ludem polskim, czy to, że o jej powrocie decydowała wola silnego, zespolonego wspólnymi żądaniami narodu. Materialne korzyści płyną z racji pierwszego stanowiska.

Nie wolno nam jednak być krótkowzrocznymi.

Młodzież polska w chaosie nieuporządkowanych uczuć nie może stracić sprzed oczu oczywistej prawdy; nie może nie wyciągnąć wniosków z faktów tworzenia, dokonywania się historii.



Kawalerla polska w Trzyńcu

Odwracamy kartę historii, ale jej nie zamykamy. Z niej czytać nam trzeba przyszłość narodu, z niej czerpać wiedzę tworzenia wielkiej rzeczywistości.

Niematerialny, a jakżesz potężny znaczeniem, czyn październikowy narodu polskiego, niby wskazówka busoli wskazuje drogę przyszłości.

Tę, nowe, młode pokolenie Polski, tworzyć musimy **pracą i wolą zwycięstwa.**

Zawiodą wszyscy sąsiedzi, przyjaciele, — rachuba oparta na własnych siłach nie zawiedzie nigdy, jak nie zawiodła teraz w historycznych dniach rozstrzygnięć.

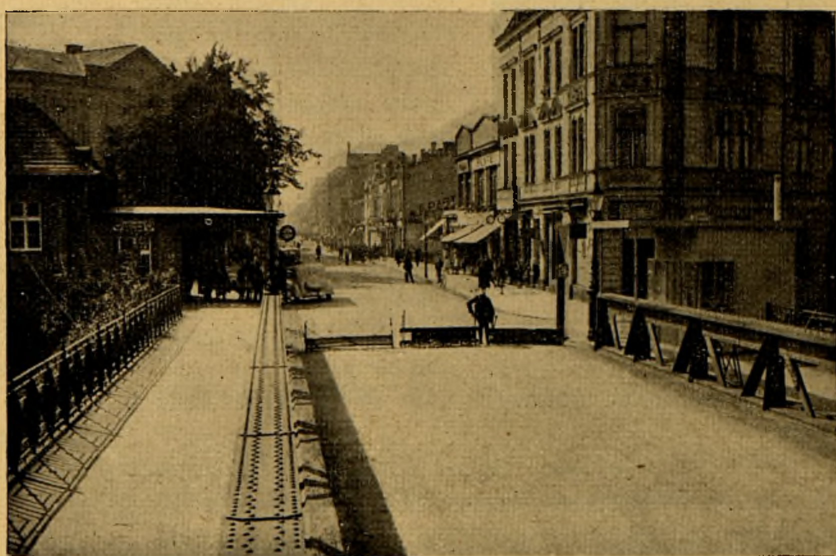
Dla tych powodów z niekłamaną radością witaliśmy wysiłki naszych Braci Zaolzańskich, naszych kolegów z ław szkolnych, podejmowane z wiarą w zwycięstwo sprawy słusznej i wielkiej.

Teraźniejszą rzeczywistość dokonywaliśmy czynem mniej materialnym, a więcej tym, którego zarodki tkwią w najgłębszych tajnikach duszy.

Zwyciężyła prawda.

Zwycięży zawsze, jeżeli znajdzie **wolę wprowadzenia ją w czyn**. Tą, niby gwiazdą na firmamencie kierować się musimy w poczynaniach życia społecznego, politycznego i międzynarodowego.

I wówczas tylko Polska i jej młode pokolenie śladem tamtych, wielkich dni znad Olzy, zda przed historią egzamin, który pozwoli jej wejść w szeregi decydujących potęg świata.

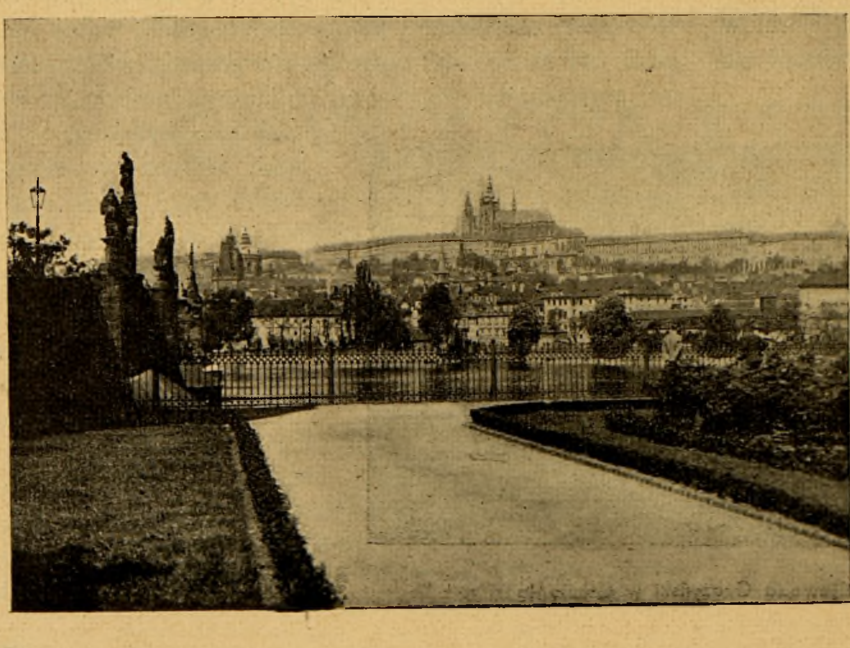


Most na Olzie

Ofiarę za taką prawdę, w imię której poniósł śmierć **komendant harcerzy** polskich na Śląsku Cieszyńskim **W. Reger,** godna jest najwyższej czci, takiej, jaką zmarłemu złożył Pierwszy Obywatel Rzeczypospolitej Prezydent Ignacy Mościcki.

Godny był Złotego Krzyża Zasługi.

Zdzisław B. Porębski.



Praga, stolica Czechosłowacji

MŁODZIEŻ WIEJSKA W SZKOLE ŚREDNIEJ

Po przepracowanych w domu żniwach wrócili znowu synowie i córki wsi do gimnazjum, aby z powrotem zasiąść nad sinusami i kosinusami, Liwiuszem, czy Cyceronem.

I oto jakie w związku z tym nasuwają się refleksje.

Nie można bowiem powiedzieć, że dostateczna ilość młodzieży wiejskiej weszła w mury zakładów średnich. Bo oto dwudziestokilkumilionowa, a stanowiąca przeszło 70 proc. ludności polskiej, warstwa chłopska posiadała w 1935/36 roku w klasie ósmej 12,5% ogółu uczniów, podczas, gdy nikły nader u nas odsetek rentierów posiada prawie również tyle samo, bo 11,4%. Cyfry te mają, przeogromną wymowę.

Od 1936 roku nie odbiegliśmy dzisiaj — zdaje się — wcale. Młodzieży wiejskiej w szkole średniej jest bezwarunkowo za mało. Składają się na to różne przyczyny.

Przede wszystkim: ciężkie warunki kształcenia córek i synów chłopskich w gimnazjum — opłaty, stancja, utrzymanie, oraz małe zrozumienie wśród chłopów potrzeby ludzi wykształconych.

Ta ostatnia przyczyna może stosować się głównie do okresu dobrej koniunktury w rolnictwie, kiedy to niejedni rodzice na wsi byli w stanie wysłać dziecko do gimnazjum, lecz tego nie zrobili głównie na skutek niedoceniania tej sprawy.

Inni znów, jeżeli nawet do gimnazjum oddawali syna, to przeważnie z myślą, że „wyedukuje się na pana". O tym, aby syn albo córka (ta ostatnia bardzo rzadko szła i idzie do gimnazjum) zdobytą w szkole wiedzę mogli obrócić na pracę pozytywną w swym środowisku — mowy nie było.

Obecnie powoli, krok za krokiem nastawienie chłopów do szkół w ogóle, a więc i do szkół średnich, zmienia się i staje coraz bardziej pozytywne. Znów jednak obecne ciężkie położenie wsi nie pozwala na tak duży, bo liczący kilkanaście conajmniej tysięcy złotych, wydatek z chłopskiej kieszeni.

A jednak ludzi z wykształceniem bardzo wsi potrzeba. I co ważniejsze, że potrzeba jej inteligencji, która by wyszła ze wsi, znała bolączki, jako też wady i zalety charakteru chłopa, a wtedy dopiero mogłaby skierować na najwłaściwsze koryto wartki nurt jej życia.

Na wsi brak nauczycieli, lekarzy, agronomów, budowniczych it.d. it.d. Gdzie spojrzeć, to moc rąk do pracy, tylko brak głowy, która by pokierowała odpowiednio siłą ich rąk. Ileż zagadnień, trapiących umysły dzisiejszych polityków i ekonomistów, byłoby rozwiązanych. Inteligencja ta jednak musi z ludu wyrastać, musi lud chłopski kochać i z nim jedność stanowić.

Głowili się posłowie przy ustanawianiu ustawy lekarskiej, czy to nie będzie krzywdą dla młodych lekarzy, kiedy przymusowo będą musieli pracować w ciężkich warunkach na wsi.

Zdaje mi się, że zagadnienie to nie wypłynęłoby nawet na widownię, gdyby funkcje lekarzy na wsi mogli objąć synowie chłopscy. Praca nad podniesieniem środowiska, które ich wydało, byłaby ich najświętszym obowiązkiem. Naturalnie mówię o świadomych swej roli inteligentach, synach wsi.

Życie musi iść w tym kierunku, aby wieś jak najwięcej kształciła swych synów, którzy po ukończeniu studiów powróciliby do niej i pracowali wytrwale nad jej podniesieniem.

Kształcenie to zaś zależy w głównej mierze od udostępnienia synom chłopskim szkoły średniej.

Takie jest mniej więcej tło zagadnienia młodzieży wiejskiej w szkole średniej. I chociaż tej młodzieży jest dzisiaj w gimnazjum mała garstka w stosunku do potrzeb rozwojowych wsi, to jednak przed tą garstką młodzieży stoją wielkie zadania do wykonania, zadania, które musimy sobie już teraz w gimnazjum uświadomić i do realizowania tych zadań zawczasu przygotowywać się tak duchowo, jak i przez wybór odpowiedniego kierunku nauki.

Cóż jednak trzeba robić w szkole średniej, aby być przygotowanym do swej przyszłej roli przodownika w życiu wiejskim?

Przybyły do gimnazjum syn chłopski wpada w całkiem odrębną, miejską atmosferę. Większość kolegów — to przeważnie z miasta lub z t.zw. „lepszych domów". Często sam musi wstydzić się swych manier i „nieokrzesania" towarzyskiego. Koledzy jego w domu rodzinnym nabrali już pewnej ogłady, on zaś musi wszystkiego uczyć się dopiero teraz, najadłszy się przy tym niekiedy wiele wstydu.

Dlatego to synowie chłopscy stronią często od kolegów, obawiając się zawsze z ich strony drwin z niewłaściwego ich zachowania się.

Obcość środowiska miejskiego sprawia, że jest on w nim nieśmiały i nieufny. Ciężkie zaś **warunki materialne uczą poszanowania biedy, współczucia dla innych,** oraz **hartują w walce o lepszą dolę.**

O wsi własnej, o kolegach, z którymi niedawno wspólny łączył nas los, nie możemy w gimnazjum zapomnieć. Zdawać sobie bowiem musimy sprawę wszyscy studiujący synowie wsi z tego, że już przez samo umożliwienie nam dalszej nauki w gimnazjum wieś, rękami naszych rodziców uczyniła duże poświęcenie, ograniczyła znacznie pozostałe rodzeństwo, aby nam umożliwić „wybicie się". Dług ten winniśmy rodzeństwu i wsi spłacić późniejszą dla nich pracą. Do pracy tej zawczasu, już w szkole średniej musimy się przygotować. I chociażby los nawet tak nami pokierował, że na wieś nie moglibyśmy powrócić, to jednak o tym, skąd wyszliśmy, należy zawsze pamiętać i przy każdej okazji pamięć tę akcentować.

My, kształcąca się młodzież wsi musimy wreszcie wyzbyć się dziwnej, nieuzasadnionej pruderii, wstydu, którym pokrywaliśmy nasze pochodzenie. Decydować będzie i musi praca, inteligencja i użyteczność społeczna i narodowa. I tymi tylko cechami zdobędziemy właściwe pozycje, przekonamy naszych kolegów na ławach szkolnych i całe społeczeństwo o wartościach, które wnosimy do polskiego życia. — Wzajemne zrozumienie, którego mamy prawo żądać od reszty społeczeństwa, stworzy podwaliny pod budowę wielkiej rzeczywistości polskiej.

Kontakt ze wsią może wyrazić się w różnej formie.

Oto w pewnym gimnazjum kilku uczniów, pochodzących ze wsi, z jednej klasy — nawiązało kontakt z leżącą blisko tego miasteczka wsią, założyło w niej świetlicę - bibliotekę, urządzali co pewien czas okolicznościowe odczyty i pogadanki, pomagali w pracach miejscowego Koła Młodzieży.

To jeden przykład. Form jednak współpracy ze wsią jest wiele i co najważniejsze — obydwie strony odnoszą z niej pożytek. Wieś podnosi się kulturalnie, a my wyrabiamy się na przyszłych działaczy społecznych.

W murach szkolnych niech zadzwonią mocno w sercach kształcących się córek i synów wiejskich słowa wielkiego syna wsi Władysława Orkana:

„Ze wsią swoją rodną żyj, daj jej co najlepsze z duszy swej. Wróć braciom, coś wiedzą zdobył. Nie przecinaj korzeni, łączących cię z rodną ziemią, choćbyś na krańcu świata się znalazł. To tak, jakbyś przeciął żyły żywota."

Zawada Bronisław

SPÓŁDZIELCZOŚĆ w SZKOLE

Rozpoczął się rok szkolny, a z nim ruch na korytarzach szkolnych, rozmowy, śmiech wśród uczniów, ciągną się długie szeregi stojących w koleice do zakupu w szkolnym sklepiku spółdzielczym. W czasie każdej dużej przerwy ogonki wyciągają się przed sklepikiem. Jeden kupuje ołówek i zeszyt, inny wieczne pióro, Franek grzebyk, Stach notes it.p. Sprzedają im ich koledzy, a jak sprawnie to czynią, jak urodzeni sklepikarze. Nie ma w tym nic dziwnego, od trzech lat istnieje spółdzielnia — mieli czas nabrać wprawy i stać się usłużnymi kolegami. Przed trzema laty inaczej było. Wszyscy chodzili kupować do sklepu na ulicy.

Jakżeż to było z tym założeniem sklepiku i całej spółdzielni?

Chodzili uczniowie gromadkami, jak dziś, rozmawiali i przechwalali się nawzajem porobionymi zakupami. Tak zeszedł wreszcie i październik, aż przyszedł listopad, a z nim deszcz ze śniegiem i wichry. Zimno w kości właziło i nie bardzo chciało się wychodzić z gmachu na ulicę, a tu ciągle jeszcze coś trzeba kupić, to arkusz papieru, który często zmoczony, zmięty stawał się niezdatny do użytku, to zeszyt, którego okładka okazała się ciemniejsza niż klasa kupiła. Inni narzekali na to, że trzeba daleko biegać po zakupy takich drobnych przedmiotów, jak ołówek, czy zeszyt. Zaczęto myśleć i naradzać się nad tym, co by to zrobić, żeby można wszystko kupić w gmachu szkolnym. Pewnego dnia Stach rzucił myśl — założenia spółdzielni. W pierwszej chwili roześmieli się koledzy, bo skądże wziąć pieniędzy, gdzie jest miejsce na sklepik, kto będzie sprowadzał towary! Z czasem podzieliły się jednak zdania, rozpoczęły się dyskusje, przekonywania. Jedni twierdzili, że gromadnie wszystko da się zrobić, aby tylko były chęci i dobra wola, drudzy nie wierzyli we własne siły. Dyskusja przeniosła się na teren poszczególnych kółek i tam omawiano już nie dorywczo, lecz poważnie, a nawet wygłoszono referaty o znaczeniu spółdzielni uczniowskiej w szkole. Wreszcie w poszczególnych kółkach powzięto uchwały założenia spółdzielczego sklepiku szkolnego.

Uchwały przedstawiono opiekunom kół i wysłano delegację do p. dyrektora z prośbą o pozwolenie zwołania ogólnego zebrania dla omówienia sprawy założenia sklepiku szkolnego. Pan dyrektor pozwolił. Organizatorom zaiskrzyły się oczy, a równocześnie obleciał ich strach czy, aby się projekt uda? Wyznaczono zebranie na sobotę, wywieszono ogłoszenie, w którym wskazano salę, dzień i godzinę zebrania. Podpisał je tymczasowy komitet organizacyjny. Oprócz tego, ogłoszono ustnie we wszystkich klasach termin zebrania. Nadeszła chwila decydująca. Zgromadziło się dużo uczniów ze starszych i młodszych klas, ledwie sala mogła pomieścić. Wszedł na podwyższenie Stach, aby zagaić zebranie. W kilku mocnych, logicznych zdaniach wyjaśnił cel dzisiejszego zebrania i zaproponował następujący ułożony przez komitet organizacyjny jego porządek:

1. Wybór przewodniczącego i sekretarza zebrania.
2. Referat kol. Janka K. „Co to jest spółdzielczość, jakie są jej zadania i cele?"
3. Dyskusja.
4. Referat kol. Franciszka D. „Statut spółdzielni uczniowskiej".
5. Zapytania i wyjaśnienia.
6. Uchwalenie wysokości udziałów i wpisowego.
7. Zadeklarowanie udziałów.
8. Wybór Zarządu i Rady Nadzorczej Spółdzielni.
9. Wolne wnioski.

Porządek obrad został przez zebranych przyjęty jednogłośnie. Przewodniczącym wybrano Stacha. Janek staje na podwyższeniu w rumieńcach, nogi mu drżą. Pierwszy raz ma wygłaszać referat przed tak liczną gromadą zebranych. Mówi najpierw powoli, potem coraz śmielej i naturalniej. Wszyscy słuchają z zainteresowaniem. Wreszcie skończył i odetchnął głęboko. Przecież przez 15 minut musiał bardzo intensywnie myśleć i mówić rzeczowo tak, aby przekonać wszystkich kolegów. Przyszło mu to tym łatwiej, że gruntownie przeczytał książki: **„Spółdzielnie młodzieży". Zofii Charszewskiej** i **„Spółdzielnie uczniowskie" Franciszka Dąbrowskiego.** Rozpoczęła się dyskusja i trwała całą godzinę. Wszyscy mówcy zgadzali się na to, aby spółdzielnia uczniowska powstała. Po wyczerpaniu listy mówców, przewodniczący w paru zdaniach streścił dyskusję i przeszedł do następnego punktu zebrania. Franek zreferował statut. Głośno, dokładnie punkt za punktem wyjaśniał, tak, aby wszyscy dobrze zrozumieli. Dyskusji nad referatem Franka nie było, a na zapytania odpowiedział referent. Po wyjaśnieniu wszystkich wątpliwości przystąpiono do dalszego punktu zebrania. Po dłuższej dyskusji wysokość udziału uchwalono na 1 zł, a wpisowe 20 gr. Wszyscy ci, którzy chcieli zostać członkami spółdzielni podpisali deklarację, zgadzając się na wpłacenie udziału i wpisowego najpóźniej w ciągu tygodnia. Potem wybrali Zarząd i Radę Nadzorczą, musi ktoś przecież prowadzić spółdzielnię i kontrolować zarząd, aby wszystko było jak najlepiej. Na Władzach Spółdzielni ciąży obowiązek — odpowiedzialność za wspólne pieniądze i zaspokojenie wszystkich słusznych żądań członków. Do władz spółdzielni wybrali najbardziej solidnych i dzielnych kolegów. W wolnych wnioskach uchwalono, że zebrania spółdzielni będą się odbywały raz na trzy miesiące.

Stach zamykając zebranie, stwierdził wyczerpanie porządku zebrania i ogłosił, że z dniem dzisiejszym na terenie naszej szkoły powstała spółdzielnia, która najpierw zorganizuje sklep, a w miarę uporania się z trudnościami funkcjonowania sklepiku, będzie obejmowała inne działy pracy samorządowej. Nowo wybrany zarząd poszedł pokazać się p. dyrektorowi i poprosił przy tej okazji o miejsce i szafę na sklep. Pan dyrektor bardzo się ucieszył, dał szafę na korytarzu i dla ściślejszej współpracy Grona Nauczycielskiego ze spółdzielnią, poprosił p. profesora, aby został opiekunem spółdzielni. Pan profesor, dobrze zna spółdzielczość, był na zebraniu, chętnie przyjął zaproponowane stanowisko.

Tak powstała nasza spółdzielnia, która dziś prowadzi wszystkie prace samorządowe na terenie szkoły.

Sklepik mocno się rozbudował, a z nadwyżki rocznej zakupiono ładną biblioteczkę spółdzielczą. W tym roku chcemy nadwyżkę przeznaczyć na zakup radioodbiornika dla jednej ze szkół na kresach. Wszyscy koledzy kupują w swoim sklepiku szkolnym.

J. Bon.



PO ZŁOTO NA ALASKĘ

Na prośbę Komitetu Red. sławny powieściopisarz prof. **F. A. Ossendowski** napisał poniższy artykuł.

Redakcja

Nikt nie pamiętał tak marnego roku, jakim był r. 1928 w Kanadzie. Plantatorzy jeden po drugim porzucali swoje pola i ruszali w daleki świat. Nie mieli tu bowiem nic do roboty, bo w Europie, Azji nikt nie kupował pszenicy kanadyjskiej. Statki, naładowane najlepszym zbożem, stały w portach bezczynnie.

W obwodzie Calgary dłużej od innych trzymał się stary, doświadczony plantator John Mac Gregory, lecz i on w końcu zwołał robotników i ze łzami w oczach oznajmił, że porzuca swoją plantację i rozpuszcza zatrudnionych na niej ludzi.

Śród innych robotników został też zwolniony Piotr Bachnicki. Przybył on przed pięciu laty do Kanady spod Kalisza i od razu dostawszy się do Mac Gregory nie porzucał już plantacji.

Pozostawszy bez pracy i mając w kieszeni trzysta zaoszczędzonych dolarów, Bachnicki dyliżansem dojechał do stacji kolejowej, stamtąd zaś pociągiem do Brandon, gdzie mieściła się główna giełda rąk roboczych. Miasto zatłoczone było tysiącami bezrobotnych ludzi. Rozpacz tam panowała i przerażenie. Zastój w rolnictwie i przemyśle codzień wyrzucał na ulicę nowe tłumy biedaków, pozbawionych pracy.

— Źle! — pomyślał Bachnicki rozejrzawszy się dokładnie i spokojnie. — Tu nic dla siebie nie znajdę...

Zasmucił się, lecz począł rozważać wszelkie możliwości i robić pewne plany.



Indianin z Alaski „Szary Niedźwiedź" — Indianin-Atabask

Stanął w małym hoteliku na krańcach miasta. Poczuwszy głód wstąpił do jadłodajni i kazał podać sobie fasoli z kawałkiem gotowanej wędzonki — najtańsze i najbardziej syte danie. Jadł powoli, starannie przeżuwając każdy kawałek i nie przyrywając toku myśli. Nagle drgnął i upuścił widelec, który z brzękiem potoczył się pod stół. Do jadłodajni wpadł krępy, barczysty Indianin. Długie, czarne, opadające na ramiona włosy miał obwiązane różową szmatą, na szyi widniała chustka tegoż koloru.

Bachnicki poznał od razu Indianina ze szczepu Atabasków, na ogół spokojnych i potulnych ludzi. Ten zaś był wściekły. Oczy mu się jarzyły, jak u wilka, silne dłonie co chwila zaciskały się w pięści. Chrapliwym głosem ryczał groźnie:

— Blade twarzy mieć „Szarego Niedźwiedzia" jak psa! Pracować dużo, płacić mało, a gdy nie mieć kupca na pszenicę, brać „Szary Niedźwiedź" za kark i wyrzucać, jak psa!...

Siedzący przy stolikach ludzie milczeli, ponurym wzrokiem patrząc na Indianina. „Szary Niedźwiedź" tymczasem wygrzebał z kieszeni skórzanych portek dolara i cisnął go na ladę, mrucząc:

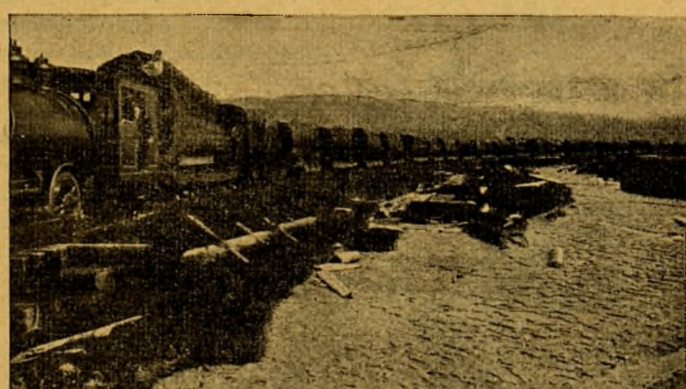
— Trzy dni chodzić głodny... Ostatni pieniądz... Dać mocna „woda ognista!" „Szary Niedźwiedź" pić! Dużo pic i — umierać!

Stojący za ladą właściciel jadłodajni wyciągnął już rękę po butelkę, gdy do Indianina podszedł Piotr Bachnicki i patrząc mu w oczy powiedział:

— Chodź „Szary Niedźwiedziu", nakarmię cię, ale przedtem zabiesz swego dolara! Człowiek głodny i zrozpaczony nie powinien pić „wody ognistej"!



Krajobraz na Alasce około „Niebieskiego Jeziora"



Wywóz drzewa z puszczy na Kaukazie

Żdumiony Indianin schował pieniądz do kieszeni i pokornie poszedł za Bachnickim, który już wołał:

— Podwójną porcję fasoli z wędzonką dla „Szarego Niedźwiedzia"!

Potem siedział w milczeniu patrząc, jak znika jedzenie w ustach głodnego Indianina. Najadłszy się do syta „Szary Niedźwiedź" zmrużył oczy i począł się przyglądać nieznajomemu, aż wreszcie szepnął:

— Dlaczego blada twarz nakarmić „Szary Niedźwiedź"?

— Dlatego, że czerwona twarz była głodna i chciała robić głupstwa — odparł Bachnicki z uśmiechem podając mu papierosa.

Długo siedzieli obok siebie i milczeli. Nagle Indianin pochylił się ku Bachnickiemu i powiedział:

— Blada twarz jest dobry człowiek! „Szary Niedźwiedź" mówić mu wielka tajemnica. Słuchaj!

Długo szeptał mu coś do ucha, nożem kreślił jakieś linie na stole, klepał Bachnikiego po ramieniu. Śmiał się głośno aż w końcu spytał:

— „Szary Niedźwiedź" mówi prawdę! Na „Wielkiego Ducha" — prawdę! Czy blada twarz wierzyć?

— Wierzę! — kiwnął głową Bachnicki — Spróbujmy, bo nie mamy nic do stracenia! Tego samego jeszcze dnia towarowym pociągiem wiozącym kloce sosnowe nowi przyjaciele jechali już do portu Jakutet, skąd mały, brudny stateczek amerykański przerzucił się na Alaskę. Pięć dni trwała ta niezbyt wygodna podróż, aż w końcu znaleźli się w małej osadzie Mitczel. Nie popasali tu długo i na trzeci już dzień maszerowali przez puszczę pochyleni pod ciężkim ładunkiem. Szli cały tydzień aż ujrzeli nagie góry, tam i ówdzie okryte płatami śniegu.

— Nome! — zawołał „Szary Niedźwiedź". — Wiesz wieczorem rozpaliny ogniska nad potokiem Roet - Water, który wpada do „Niebieskiego Jeziora", a jutro...

Zaśmiał się chrapliwie i triumfująco.

Nazajutrz gdy słońce zajrzało do głębokiego wąwozu, gdzie z pluskiem biegł potok, jak gdyby się dziwił ujrzawszy dwóch ludzi. Jeden z nich budował długie, płaskie koryto z rozłupanych pni sosnowych i na jego dnie nabijał niskie przegródki, drugi kopał ziemię, której spory już pagórek wyrósł obok koryta. Od tego dnia słońce widziało ciągle tych ludzi nad bielejącym korytem. Rydlami rzucali do niego ziemię i puszczali wodę z potoku. Unosiło ona lekkie części i drobne kamyki, koło przegródek zaś zatrzymywał się obok większych kamieni żółty, połyskliwy piasek. Wieczorem gaworząc wesoło Bachnicki i Indianin zgrzebywali złoty piasek do szufelki i wysuszywszy go nad ogniskiem wsypywali go do woreczka.

Do samej zimy, gdy Rooe - Water zaczął zamarzać, pracowali obaj przyjaciele bez wytchnienia, aż pewnego razu wkopali koło koryta słup i zaciosawszy go wypalili na nim krótki napis: „Kopalnia Złota Piotra Bachnickiego i „Szarego Niedźwiedzia". Zwinąwszy obóz ruszyli przez puszczę do miasteczka Katerikan. Znowu nieśli na sobie ciężki ładunek, cięższy nawet niż przedtem, gdy każdy miał przy sobie skórzany worek z dwoma kilami złotego piasku, zdobytego na Root-Water.

— „Szary Niedźwiedź" być mały, widzieć złoto w potoku i przyprowadzić białego przyjaciela! — śmiał się wesoło Indianin. — Czerwona skóra pamiętać drogę, ho, ho, „Szary Niedźwiedź" mieć dobra pamięć!

— Dziękuję ci bracie! — odpowiedział Bachnicki. — W mieście zapłacę podatek i wezmę dzierżawę na wąwóz Root - Water.

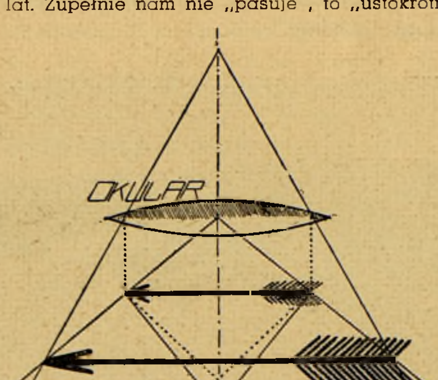
Tak też uczynił dawny emigrant spod Kalisza. W dwa lata później na wydzierżawionym przez Bachnickiego terenie powstała już cała osada. Około trzystu ludzi pracowało w kopalni złota i wszystko się już zmieniło. Znikł ubogi szałas i niezgrabnie sklecone koryto. Na ich miejscu stanęły schludne domki i duża maszyna parowa do przemywania złota.

F. A. Ossendowski



Z cyklu: „Nauka w życiu codziennym i codzienne życie nauki".

Dziwnie to jakoś wygląda, gdy pomyślimy sobie, że przyrząd tak zdawałoby się nowoczesny, jak mikroskop, liczy sobie już 350 lat. Zupełnie nam nie „pasuje", to „ustokrotnione oko" do czasów Romea i Julii. Nikt jednak, jak dotąd przynajmniej, nie zaprzeczył, iż **Zachariasz Jausen** — holenderski optyk z miasta Middelburg, ustawiwszy w odpowiedniej odległości dwie soczewki zbierające, ujrzał w roku Pańskim 1590-tym: „rzeczy naturalne niezmiernie powiększone, oraz inne dziwy i cuda".



Rys. 1. Schemat układu soczewek oraz działanie mikroskopu.

Pierwszy mikroskop, jak już to wspomniałem przed chwilą, składał się z dwóch skupiających soczewek, które umieszczono po obu końcach specjalnej rury tak, by środki tych soczewek leżały na jednej linii prostej, zwanej **osią optyczną.**

Aby sobie ułatwić objaśnianie, a Czytelnikom mniej zawracać głowę, zrobiłem rysunek, który widzimy obok (rys. nr. 1) Zrobiłem go schematycznie, to znaczy pomijając wszystkie, zbędne narazie, szczegóły.

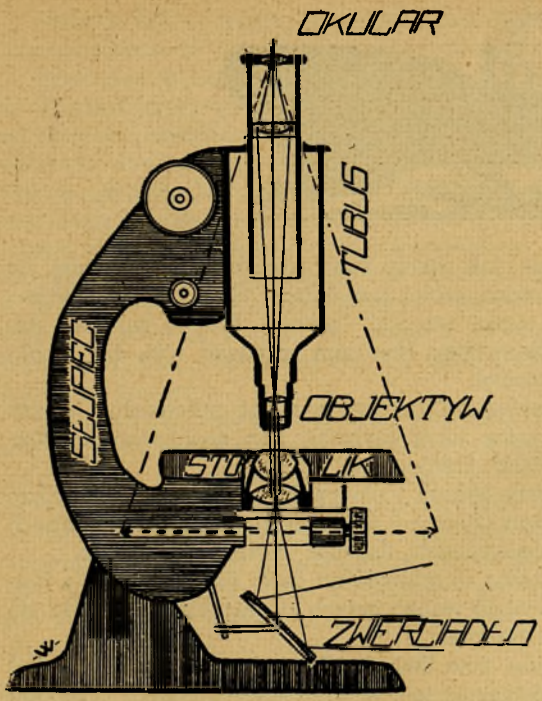
Widzimy, na tym szkicu, dwie soczewki, z których dolna, zwrócona ku małej strzałce, nazywa się **obiektywem.** Nazwa ta jest słuszna, gdy obiektyw „patrzy", jeśli tak można powiedzieć, na jakąś rzecz, czyli obiekt. W tym wypadku obiektem jest mała strzałka.

Promienie odbite od strzałki przechodzą przez obiektyw, który tworzy obraz **powiększony** i **odwrócony** tak, że ostrze strzałki znajduje się nie po prawej, jak jest w rzeczywistości, lecz po lewej stronie.

Na ten obraz patrzymy przez drugą soczewkę — **okular** (tak nazwany, gdyż zbliżamy do niego oko). I znów obraz zostaje powiększony. Niestety, ponowne odwrócenie nie następuje i dlatego, przesuwając przedmiot badany często popełnia się mimowolny błąd tak, że chcąc obserwować lewą jego część, podsuwamy pod obiektyw prawą.

Przechodzę teraz do opisu mikroskopu czyli omawiać będę każdą jego część z osobna.

Podstawą mikroskopu jest **podstawa,** przepraszam moich Czytel-



Ryc. 2. Schematyczny przekrój mikroskopu o jednym, niewymiennym obiektywie.

ników za ten, bądź co bądź kalambur no, ale trudno jest zaprzeczyć rzeczywistości. Jak widać na rycinie nr. 3, podstawa ma kształt podkowy z jak gdyby ostrogą z tyłu. Całość zrobiono z żelaza lanego, jest dość ciężka, a to dlatego, że większość mikroskopów ma górną swą część przechyloną, no a jest rzeczą zrozumiałą, że nie po to robi się mikroskopy, aby się przewracały. Ową częścią przechyloną jest **słupiec**, do którego zamontowane jest całe urządzenie mikroskopu. Okrągła. (ryc. nr. 3) lub kwadratowa płytka przymocowana u dołu słupca, to **stolik przedmiotowy.** Proszę teraz spojrzeć na szkło (nr. 2). Widzimy tam, iż w środku stolika znajduje się otwór. Przez niego to pada światło, na badany proparat (umieszczony właśnie w tym miejscu). Ponieważ otwór z góry jest zasłonięty rurą mikroskopu, światło pada z dołu, odbite od **zwieciadła**, z jednej strony płaskiego, a z drugiej wklęsłego.

Na przekrojowym rysunku nr. 2 widzimy wmontowane w stolik dwie soczewki, tak zwany **kondensator**, czyli „zbieracz". Kondensator zbiera, skupia, kondensuje promienie po to, by silniej oświetlić przedmiot leżący na stoliku. Konieczne to jest, gdy chcemy zastosować silne obiektywy, które, jak wiadomo, składają się z całego zespołu soczewek, bardzo zaciemniających obraz.

Powrócę jeszcze na chwilę do, tak ogólnie potraktowanego poprzednio, zwierciadła. Wyjaśnię mianowicie, dlaczego z jednej strony jest ono płaskie, z drugiej zaś wklęsłe. Płaskie stosuje się przy świetle dziennym ze względu na to, że promienie słoneczne, jako wychodzące z niezmiernie oddalonego ogniska, uznajemy za równoległe, światło sztuczne zaś trzeba skupić dodatkowo, za pomocą wklęsłego lusterka. Tuż pod kondensatorem wmontowana jest **diafragma**, urządzenie identyczne, jak w aparacie fotograficznym, służące do zmniejszania ilości, podających na przedmiot promieni. Światło jest bardzo potrzebne, lecz ma tę wadę, iż odbiera obrazowi jego wyrazistość. Badając tedy specjalnie delikatne szczegóły budowy preparatu, musimy zmniejszyć dostęp światła i tak, kosztem jasności uzyskujemy, jak to się popularnie mówi „ostrość". Przy niewielkich powiększeniach, gdzie dokładność nie gra wielkiej roli, można sobie pozwolić na pełne oświetlenie.

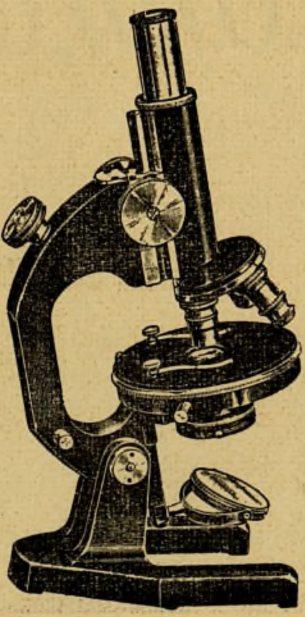
Lecz nie zatrzymujmy się zbyt długo przy mniej ważnych częściach mikroskopu, czeka bowiem, tak Czytelników, jak i autora najbardziej skomplikowane urządzenie, to jest **tubus**.

Jest to metalowa rura, zaciemniona w środku, w której u dołu znajduje się obiektyw; w górnej zaś części wmontowano okular. Czytelników, którzy obejrzeli dokładnie ryc. nr. 2 zdziwi zapewne to, że narysowałem tubus złożony z dwóch rur. Przecież odległość między obiektywem, a okularem jest stała i niezmienna! Tak jest istotnie, lecz większość mikroskopów posiada rewolwerowe urządzenie (patrz. ryc. nr. 3), pozwalające na szybką wymianę trzech, lub więcej, obiektywów o różnej mocy. Wkręcanie bowiem i wykręcanie obiektywów, szczególnie przy obserwowaniu preparatu, byłoby nie tylko zajmującym czas, lecz i trudnym zadaniem. Wysuwany tubas pozwola doregulować okular do ogniskowej objektywu, która maleje, im bardziej rośnie powiększenie. Kiedy mówimy już o obiektywach, to zajmijmy się nimi dokładniej. Zadaniem obiektywu jest, możliwie największa, ostrość w rysowaniu obrazów badanego przedmiotu, to znaczy usunięcie mglistych miejsc i tęczowych obwódek. Kolorowe kontury, tak bardzo utrudniające obserwację, pochodzą stąd, że soczewki obiektywu załamują białe światło, rozczepiając je na barwy tęczy. Zaś ognisko skupienia promieni czerwonych leży w innej odległości od soczewki, niż ognisko promieni niebieskich, a to wpływa na wyrazistość obrazu. W roku 1880 znany uczony **Abbé**, za pomocą składania obiektywu z soczewek, zrobionych z różnych gatunków szkła, otrzymał obiektów **apochromatyczny**, to znaczy korygowany na wszystkie barwy widma słonecznego. Takie składanie daje w rezultacie obraz ostry, bez dodatkowych, zbędnych zabarwień. Od obiektywu, prócz opisanej wyżej, **zdolności definicyjnej** wymaga się **zdolności powiększania**. Jest ona, matematycznie biorąc, wynikiem pomnożenia powiększania obiektywu (tak zwanego **powiększania własnego)**, przez takież powiększenie okularu. Wspomniałem już, że gdy wzrasta powiększenie, to maleje ogniskowa. Z tego wynika, że przy bardzo silnych soczewkach musimy przysunąć tubus blisko przedmiotu np. na 2, 1, lub nawet 01 milimetra. Ręka ludzka, nie posługując się przekładnią, nie potrafi być tak dokładną. Z tego to powodu na słupcu zamontowane są dwie śruby (patrz ryc. nr. 2 i 3). Górna większa zwana **makrametryczną** pozwala na powolne i dokładne nastawienie na ostrość (naturalnie bez potrzeby obserwowania odległości między przedmiotem a obiektywem). Po prostu patrzy się w okular i kręcąc śrubą otrzymuje się rządany wysów, dający wyraźny obraz. To proste — grube nastawianie nie wystarcza przy silnych powiększeniach, dlatego też lepsze mikroskopy zaopatrzone są w drugą śrubę — **mikrometryczną**, dającą przy obrocie o jeden stopień przesunięcie tubusa o jedną tysięczną część milimetra (o,001). Jak widzimy mikroskop jest przyrządem nadzwyczaj precyzyjnym. Niestety, po osiągnięciu powiększenia ponad dwa tysiące razy 200x) precyzja w odtwarzaniu obrazu znika. Maleńkie punkciki wyglądają jak mgliste kułeczka i to w dodatku „zlewające" się z sobą. No, a wtedy „szkoda szemrać", jak mówią sztubacy, o wartości rezultatów badań...

Wspominany już poprzednio Abbé znalazł jednak sposób zaradzenia temu złu. Opierając się na żmudnych obliczeniach i próbach doszedł on, że jeśli obiektyw silnego mikroskopu (a więc obiektyw o krótkiej ogniskowej, poprostu o krótkiej odległości od preparatu), połączony za pomocą wody ze szkiełkiem, zakrywającym badany przedmiot, to wyrazistość obrazu wzrośnie. Z prób wynikło, iż zgęszczony olejek cedzony jeszcze bardziej podnosi, tak zwaną **zdolność rozpoznawczą** mikroskopu.

Mikroskop z obiektywami przystosowanymi do zanurzania, czyli fachowo zwanej **imnersji**, należą do przyrządów o najwyższej precyzji i doskonałości w odtwarzaniu obrazu. c. d. n.

W. Podhorski - Okołów



Ryc. 3.
Stardartowy mikroskop z przechylanym słupcem, okrągłym stolikiem przedmiotowym oraz rewolwerową wymianą obiektywów.



ZBROJENIA MORSKIE ŚWIATA — A FLOTA WOJENNA

Gorączka zbrojeń, jaka ogarnęła cały świat przed kilku laty, w pierwszym rzędzie objęła morskie siły zbrojne wszystkich narodów. Każde z państw zbroi się na morzu na ile go stać, a nawet ponad swe możliwości.

W pierwszym szeregu tego wyścigu idą oczywiście mocarstwa morskie.

Studiując stan obecny, oraz rozbudowę flot wojennych mocarstw morskich, a więc: Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Japonii, Francji, Włoch i Niemiec zauważymy, że pierwsze miejsce pod względem tonażu zajmuje niewątpliwie flota Wielkiej Brytanii, licząca razem 1.347.500 ton okrętów czynnych i 655.100 w budowie, chociaż ilość ogólna okrętów floty Stanów Zjednoczonych, która ma 1.307.400 ton w linii i 433.000 ton w budowie, jest większa, szczególnie w klasach kontrtorpedowców i okrętów podwodnych. Poza tym flota angielska góruje nad amerykańską swym uzbrojeniem.

Trzecie miejsce zajmuje flota Japonii, 1.937.400 ton w linii i 255.300 ton w budowie, chcąca dorównać na morzu pierwszym dwu mocarstwom. Trzeba przyznać, że wysiłki te zbliżają flotę japońską coraz bardziej do celu, tym bardziej, że większość okrętów tej floty — to okręty nowoczesne, gdy tymczasem Anglia i Stany Zjednoczone mają sporo okrętów przestarzałych.

Czwartą z kolei jest flota francuska, która ma 584.000 ton okrętów czynnych i 149.000 ton w budowie. Nie sięga ona swymi ambicjami do pierwszych trzech, tym niemniej nie chce się dać prześcignąć flocie włoskiej.

Tonaż tej ostatniej sięga dziś 452.000 ton w linii i 186.100 ton w budowie.

Ostatnie wreszcie miejsce zajmuje dziś flota niemiecka, składająca się z 123.220 ton okrętów wojennych i 289.130 ton w budowie. Jak wiemy flota ta podczas wojny stała się potęgą stawiającą czoło angielskiej „Grand Fleet". Wojna światowa, a raczej warunki pokoju flotę tę zupełnie zniszczyły, pozostawiając Niemcom zaledwie tyle, by mogła ćwiczyć swe załogi.

Do szczegółowego porównania flot należałoby jeszcze wziąć pod uwagę takie czynniki, jak: nowoczesność okrętów, ich szybkość, kaliber dział i inne.

Najciekawsze jednak i niewątpliwie najwięcej obchodzący nas jest stan obecny i dalsza rozbudowa flot wojennych państw rozmieszczonych dookoła morza Bałtyckiego.

Ponad wszelką wątpliwość na czoło flot bałtyckich z bardzo dużą przewagą wobec innych sił morskich wysunęła się flota wojenna Niemiec.

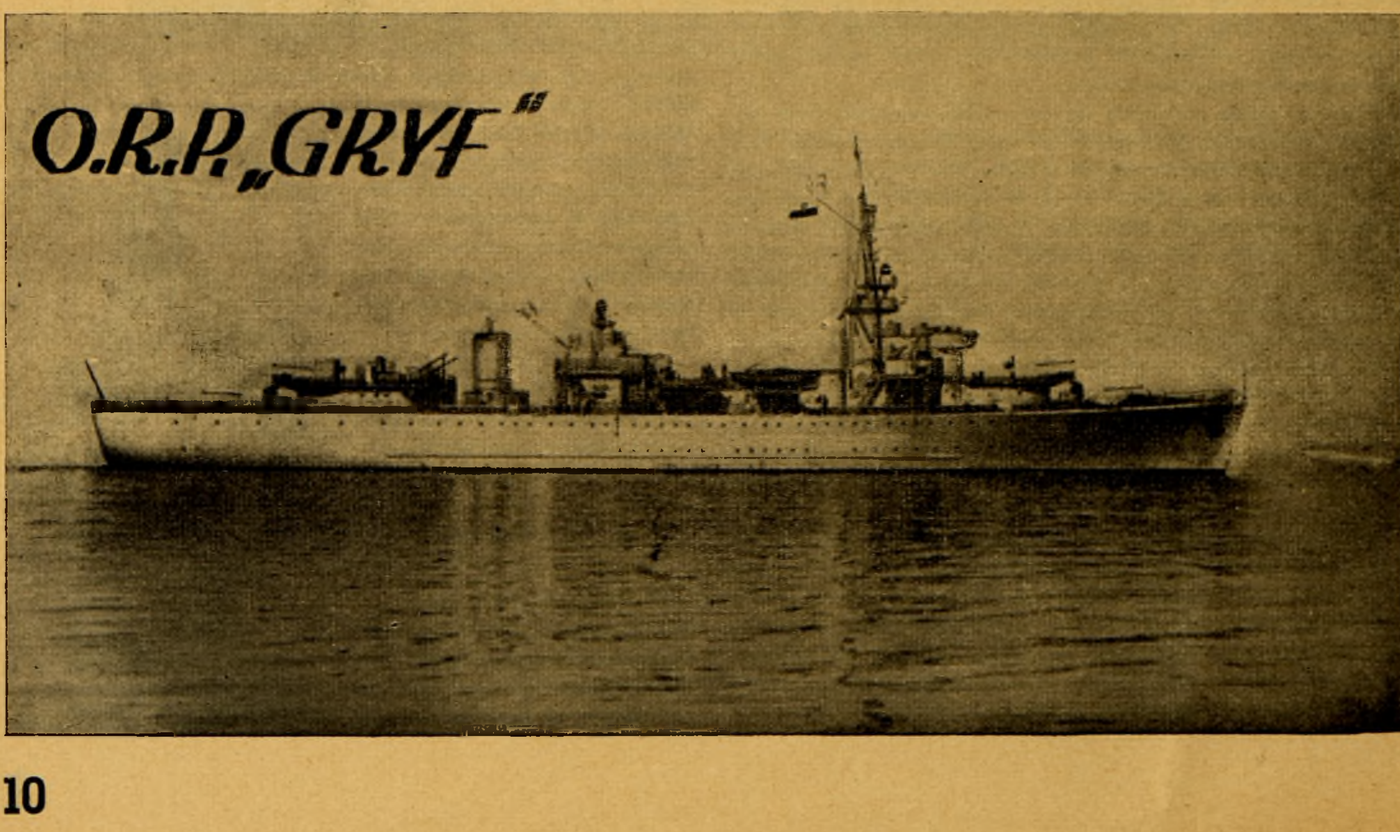
Druga z kolei flota Związku Sowieckiego zamyka się dziś w ramach 156 tysięcy ton, w tym około 50 tysięcy przypada na okręty nowoczesne, reszta — to okręty stare, jeszcze z czasów byłej floty carskiej.

Stan floty szwedzkiej wynosi dziś razem 71.200 ton okrętów bojowych. Najbliższa rozbudowa przewiduje zwiększenie tonażu floty o przeszło 12.000 ton. Jest to flota o charakterze wybitnie obronnym.

Dania, której flota wojenna zwiększyła się od 1920 roku o zaledwie 2.340 ton, a najbliższa rozbudowa przewiduje zaledwie trzy łodzie podwodne po 300 ton — zajmuje na Bałtyku czwarte miejsce.

Piąte miejsce ma dziś niewątpliwie flota polska.

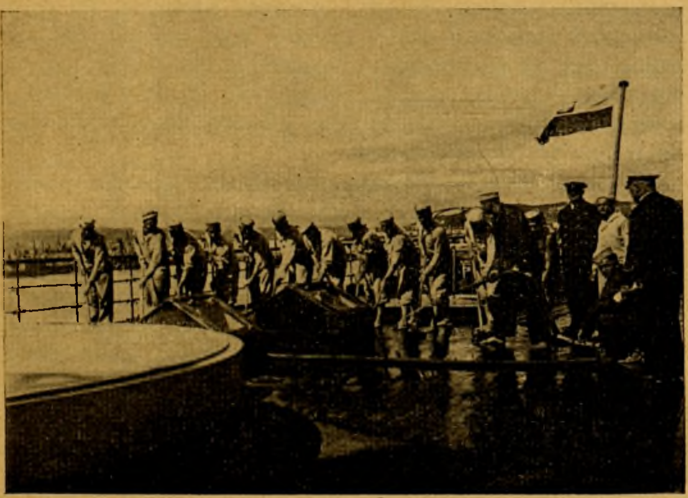
Na uznanie zasługuje również flota wojenna Finladii. Kraj ten kosztem najdalej posuniętych wysiłków zbudował w czasie powojennym flotę wojenną liczącą obecnie 9.85 ton nowych okrętów bojowych, z dwoma małymi pancernikami obrony brzegowej na czele.



Estonia i Łotwa, walczące z trudnościami finansowymi, mimo najszczerszych chęci, sukcesów na morzu nie osiągnęły.

Wracając do naszej floty wojennej musimy się przyznać, że w przeciwieństwie do wojska, posiadającego bardzo dawne tradycje i miłość całego Narodu — rozbudowa naszej morskiej siły zbrojnej napotyka ciągle na trudności, mające podłoże w psychice Narodu, któremu obce były zdobycze morskie, obce dobrodziejstwa płynące od morza, a przeto nie znającego tych dobrodziejstw i nie rozumiejącego konieczności ugruntowania swego stanowiska na morzach świata. Dopiero w latach ostatnich nastał przełom, Naród Polski coraz liczniej zwraca się frontem do morza, z uwagą obserwując postęp wysiłków, zmierzających do ugruntowania naszych zdobyczy morskich.

Przypomnijmy sobie, że do roku 1926 flota nasza składała się z pięciu torpedowców (szósty został wycofany w 1923 r.), przyznanych nam przez radę Ambasadorów z dawnej floty niemieckiej, dwóch kanonierek, zakupionych w Finlandii, czterech traulerów, zakupionych w Niemczech, okrętu hydrograficznego i jednego transportowca. Był to zaczątek naszej floty, której zadaniem było wyćwiczyć i przygotować oficerów i załogi dla przyszłych bojowych okrętów. Zadanie to zostało wypełnione.



Prace pokładowe

Z okrętów tych w dzisiejszym składzie naszej floty pozostały tylko: dwa torpedowce — „Mazur" i „Kujawiak", obie kanonierki — „Komendant Piłsudski" i „Generał Haller" oraz jeden z traulerów, przerobiony gruntownie na statek hydrograficzny. Reszta tego zaczątku naszej floty została już wycofana i oddana na złom.

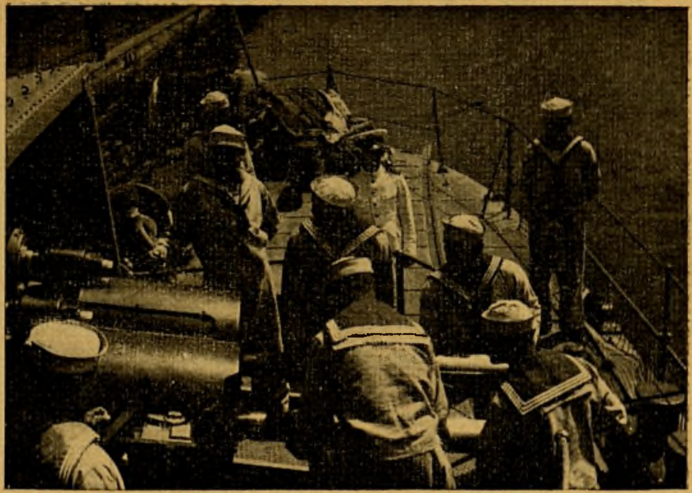
W roku 1926 zostały zamówione pierwsze okręty bojowe. Od tej chwili flota nasza powoli, jednak ciągle wzrastała. Przybyły i przybywają nowe, na wskroś nowoczesne okręty.

Obecnie nasza flota wojenna liczy w swym składzie 21 okrętów i 4 małe statki portowe, których ogólny tonaż wynosi — 25.240 ton.

Z ogólnego tego tonażu na tonaż bojowy przypada 12.270 ton, na tonaż pomocniczy — 2.800 ton i na okręty specjalne — 10.170 ton.

Okręty bojowe stanowią:

2 Kontrtorpedowce — OO.R.P. „Grom" i „Błyskawica"	po	2.000 ton
2 kontrtorpedowce — OO.R.P. „Wicher" i „Burza"	po	1.540 „
3 podwodne stawiacze min — OO.R.P. „Wilk", „Ryś" i „Żbik"	po	980 „
1 stawiacz min — O.R.P. „Gryf"		2.250 „



Działoczyny

Do okrętów pomocniczych należą:

2 kanonierki — OO.R.P. „Komendant Piłsudski" i „Generał Haller"	po	342 ton
2 torpedowce — OO.R.P. „Mazur"		360 „
i O.R.P. „Kujawiak"		365 „
4 traulery — OO.R.P. „Czajka", „Jaskółka" i „Rybitwa"	po	183 „

Wreszcie okręty i statki specjalne:

okręt minowy O.R.P. „Smok"	155 „
Żaglowiec szkolny — O.R.P. „Iskra"	560 „
Okręt Hydrograficzny — O.R.P. „Pomorzanin"	200 „
Transportowiec — O.R.P. „Wilia"	8.720 „
oraz okręt nurków i 4 holowniki mające razem	690 „

Nie jest to jednak wszystko. Na stoczniach holenderskich w Vlissingen i Rotterdamie budujemy dwa nowe okręty podwodne „Orzeł" i „Sęp" o wyporności po 1000 ton każdy oraz na stoczni marynarki wojennej w Gdyni — dwa nowe traulery typu „Jaskółka" po 183 tony.

Wreszcie w roku ubiegłym Liga Morska i Kolonialna podjęła nową inicjatywę przeciągnięcia społeczeństwa do dalszej pracy nad rozbudową naszej floty wojennej. Tym razem uchwalono, że każdy okręg L. M. i K. zbuduje ze składek społecznych jeden ścigacz swego imienia.

Oprócz floty, w skład Marynarki Wojennej, wchodzi jeszcze Obrona Wybrzeża Morskiego, Lotnictwo Morskie i Flotylla Rzeczna.

O. Żc.



Torpedowce w szyku torowym

CZY JESTEŚMY IM POTRZEBNE?

Zamieszczamy głosy młodych Polek z Francji.

Jula.

Jula Polski nie zna, słyszała jednakże o niej już od najmłodszych lat od rodziców, w szkole, w organizacji. Wie, że jest Polką i tylko małym dzieckiem będąc wstydziła się czasem przyznać do tego; potem wiedziała, że nie ma się czego wstydzić. Wie, że z Polski przychodzą listy od babci, sama pisze do niej listy i możliwe, że pojedzie tam na wakacje.

Jula chodziła na polskie lekcje (nie obowiązkowe). Lubiła na nie chodzić, bo pani opowiadała czasem takie ładne bajki, historie i od czasu do czasu grało się teatry. A i mama pilnowała, żeby Jula regularnie chodziła do szkoły polskiej: musi przecież umieć mówić po polsku. A nawet gdy zostanie tu we Francji, to też jej się język może przydać, czy to w sklepie, czy to w służbie u jakiegoś doktora, gdy trzeba być tłumaczką dla pacjentów Polaków.

Książki z biblioteki Jula bierze już od dawna; ale najładniejsze to są bajki i te czyta najchętniej. Jula żyje w środowisku chrześcijańskim: rodzice, sąsiedzi, szkoła polska..

Jula należała już od dawna do organizacji młodzieżowej i zawsze zapewniała, że jej nigdy nie opuści. Ale gdy skończyła szkołę powszechną, coś się zmieniło. Jula zaczęła opuszczać zbiórki; spóźniała się na nie, albo czekała tylko, żeby móc wyjść. Młodsze koleżanki zaczęły od niej stronić, nazywając ją „panną". Jula czuła się niedobrze, nieswojo w ich towarzystwie. Tam na ulicy czekały na nią koleżanki francuskie, z którymi Jula całymi godzinami spacerowała po ulicach.

Wygląd swój zewnętrzny też Jula zmieniła. Kazała sobie zrobić trwałą ondulację, pantofle nosi tylko na wysokim obcasie, nawet do munduru organizacji. Maluje sobie brwi, pudruje się. Robiła też wszystko przesadnie, brzydko. Potem szło lepiej, nauczyła się dobierać formę i kolory. Tylko, że nikt by nie powiedział, że ta panienka, którą spotyka się w towarzystwie męskim w kinie i na balach — to jeszcze dzieciak piętnastoletni. Ona wygląda na 18 lat, a możnaby jej dać nawet dwiadzieścia, sądząc po toalecie i zachowaniu.

Jula zerwała zupełnie z organizacją. Poleciła koleżance, żeby powiedziała kierowniczce, że ona nie ma czasu chodzić na zbiórki, bo chodzi do szycia, a pewnie niedługo pójdzie na służbę. Od tego czasu Jula w lokalu polskim więcej się nie pokazała, od dawnych znajomych stroniła.

Tak było jeszcze przez rok, a nawet więcej jak rok. Jula zaczęła tęsknić do życia organizacyjnego, do zbiórek, wycieczek, teatrów. Nieśmiało powiedziała jednej dziewczynie, że chciałaby znów należeć do nich, a po kilku dniach przyszła — wróciła. Jula pracuje teraz w sklepie. Cały dzień jest zajęta, wieczorami spotyka się ją z chłopcami na ulicach. Ale na zbiórki zawsze przychodzi — znajduje na to czas. Kupiła sobie nawet sportowe buty do munduru — ale kiedy indziej ich nie nosi, nie lubi ich. Są takie wielkie i nogi bolą, jak się w nich chodzi.

Na wiosnę była w kolonii uroczystość Konstytucji 3 Maja, a równocześnie był kiermasz w miasteczku. Jula wraz z innymi koleżankami przyrzekła na zbiórce, że przyjdzie na uroczystość i wierzyła w to, co mówiła. Ale gdy się znalazła Jula w towarzystwie swych znajomych chłopców, nie odeszła od nich. Śmieliby się może z niej, że woli iść na jakieś polskie święto, niż jeździć na karuzeli. Zresztą naprawdę było wesoło i trudno odejść. Trochę nieprzyjemnie było iść potem na pierwszą zbiórkę, ale, że kierowniczka nic nie mówiła, więc Jula przyrzekła sobie tylko, że na drugi raz napewno przyjdzie na polską uroczystość.

Jadwiga Łazęcka.

Mynia.

Mynia wyjechała z Polski, z pod Kościana, mając pięć lat. Pamięta: w Poznaniu u cioci było wesoło, w wiosce — nie. Pomagała paść krowę. Babcia nie dawała masła, tylko ser, bo masło można sprzedać. W Polsce bieda...

Wcześnie wiosną biegała boso. U chrzestnej był wielki stóg siana. Tam się „kulali" i podbijali na desce przerzuconej przez żerdziany płot. Raz wybiła sobie ząb.

Potem długa podróż...

Znalazła się tu, w polskiej kolonii. Dokoła sami Polacy. Bawiła się i mówiła tylko po polsku.

Skończyła sześć lat — poszła do francuskiej szkoły. Przez pierwsze tygodnie jest ogłuszona, nic nie rozumie i do nikogo się nie odzywa. Siedzi w ławce z drugą Polką — wie o niej tylko, że się nazywa „Żar. Osieki". Nie przychodzi jej nawet na myśl, że to Jadzia Osiecka, też Polka, tak samo ogłuszona. Powoli z tej mgławicy wyłaniają się błyski — słowa — francuskie.

Zakres ich rośnie z każdym dniem. Jadzia obok przechodzi tę samą drogę i już je złączy potem — nie ich polskość, ale ta wspólnie przebyta droga. I te cenne zdobycze. Po paru miesiącach imponuje ojcu i matce— taka pojętna. Jak już ładnie uczy się po francusku. Powstaje w niej odrazu rzeczowy stosunek do francuskiej szkoły, która jej daje ogromną, konkretną wartość: możność życia i swobodnego poruszania się w tym obcym środowisku.

Potem, dodatkowo, bokiem przychodzi „polska pani", „polska klasa" i „polska nauka". Tu już stosunek uczuciowy zależy całkowicie od osobowości nauczycielki. Mynia uczy się dwie, trzy, cztery godziny tygodniowo. Wychodząc ze szkoły umie czytać i pisać na poziomie II—IV-go oddziału. W wielkim skrócie poznała historię i geografię Polski. Pamięta o Panu Marszałku, o Panu Prezydencie, wie o Gdyni i Dniu Oszczędności.

Jedno jest dla niej pewne: że **Polska jest** — istotna, konkretna.

Lepiej się słucha o Polsce oparłszy się o płot... Nadbudowywać widziany niegdyś Poznań... a stamtąd już za słowami nauczycielki albo książki — po całej Polsce.

Po wyjściu ze szkoły kontynuuje Mynia swą polskość w organizacjach. Gdzie i jak? —

W kole śpiewu śpiewa i przepisuje piosenki. Śpiewa je „uczenie" — na głosy. Dla siebie nie śpiewa ich nigdy.

U „panien różańcowych" — śpiewa pieśni religijne. Czasem na robótkach, albo na zebraniach miesięcznych, czyta wspólnie „Pałkę Madeja", „Róże św. Elżbiety". Poza tym od czasu do czasu otrzymuje „rólki i gra „tyjatr". Czyta gazetę polską i zrzadka książki. Z reguły zawsze dodatek powieściowy: „Mściciel kobiet", „Hrabina żebraczka", kronikę kryminalną — czasem wieści z Polski...

Taki jest ciężar gatunkowy uświadomienia narodowego...

Mynia mówi po polsku „urzędowo" i dla siebie.

Czyta po polsku codzień coś z gazety, pisze listy do babci, śpiewa w chórze.

W codziennym życiu dzisiejszej Polski nie bierze żadnego udziału. Jej polskość jest lokalna — na miejscowy użytek. Starsze otoczenie uposaża ją jeszcze w szereg zastrzeżeń pod kątem polskich władz i polskiej realności — i w zaufanie do obcych autorytetów.

Tak wygląda w przekroju warstwicowym „polskość" Myni.

Zofia Turska.



Tadzik wpadł do domu przed samym obiadem prosto z zebrania koła szkolnego L.O.P.P. i już od progu zawołał:

— Dziś będzie atak gazowy! Samoloty będą bombardowały miasto. Wszyscy mają wieczorem siedzieć w domu i zgasić światło, bo inaczej...

Tu nagle zamikł. Dopiero teraz przyszło mu na myśl, co będzie, jeżeli mieszkańcy nie zastosują się do instrukcji L.O.P.P. ogłoszonej w gazetach i rozplakatowanej po mieście. Bo przecież atak lotniczo - gazowy miał być tylko „na niby". Samoloty miały tylko reflektorami sygnalizować, że ich załogi widzą oświetlone domy i ulice. Te sygnały miały udawać rzucanie bomb. Więc — czy wszyscy zechcą wziąć udział w tej zabawie w wojnę?...

Należałoby zapytać ojca, bo ojciec Tadzika pracował w fabryce Martensa na nocnej zmianie; jeżeli ćwiczenie lotniczo - gazowe ma się udać, fabryka też musiałaby na czas alarmu przerwać pracę.

— Czy tatuś pójdzie wieczorem do roboty?

Ojciec uśmiechnął się.

— Pójdę — odrzekł. — Ale z tym.

— Cóż to takiego? — zainteresował się Tadzik.

To była maska przeciwgazowa.

— Nadzwyczajne! Więc wszyscy usłuchali wezwania L.O.P.P. i traktują je poważnie?

— Naturalnie, że tak — powiedział ojciec. — W nowoczesnej wojnie każdy obywatel musi być żołnierzem, bo każdy będzie narażony na niebezpieczeństwo. Przecież nieprzyjacielskie samoloty mogą zbombardować i zatruć gazem nawet daleko od frontów wojennych położone miasta. Dlatego właśnie każdy musi umieć bronić się przed atakiem gazowym. Po to są takie ćwiczenia jak dziś. Jeżeli wszyscy zastosują się do instrukcji L. O. P. P., nieprzyjaciel będzie miał twardy orzech do zgryzienia.

— To ja nie będę mógł tatusia odprowadzić — zmartwił się Tadzik.

— Będziesz mógł. Jest tu i dla ciebie maska przeciwgazowa.

To było wspaniałe! Tadzik ucałował ojca i popędził do wszystkich znajomych w całym domu, aby podzielić się z nimi nowiną.

— Atak gazowy... Alarm lotniczy... Schrony... Patrole sanitarne... Bomby... — o niczym innym nie mówiło się tego popołudnia.

Gospodarz domu, pan Kapusta, powiedział, że zwalnia wcześniej swoich robotników i subiektów w przedsiębiorstwie i sklepie rzeźnickim na parterze. Kazał też wyprzątnąć piwnicę na schron.

Pan Klocek, stolarz z drugiego piętra, zrobił i wymalował tablicę z napisem: TU SCHRON PRZECIWGAZOWY. Powiesili ją z pomocą Tadzika na bramie.

Pani Trojanowska zaklejała paskami papieru szyby w swoim sklepiku spożywczym, bo tak było w instrukcji.

Każdy przygotowywał się do tego ataku.

Wieczorem Tadzik poszedł z ojcem do fabryki. U wejścia przy budce telefonicznej stał posterunek alarmowy, i czekał samochód z chorągiewką Czerwonego Krzyża.

Dzienna zmiana robotników już opuszczała fabrykę. Tadzik pożegnał się z ojcem i ruszył wraz z nimi z powrotem w stronę miasta.

Minęli jedną i drugą przecznicę. Na niektórych bramach wisiały tablice z napisami: SCHRON PRZECIWGAZOWY. Na chodnikach były wymalowane wapnem strzały: Do posterunku sanitarnego. Do schronu. Do automatu telefonicznego. Do apteki.

Wtem zahuczały syreny fabryk. Wyły długo, przeciągle. Do ich wycia przyłączył się po chwili daleki jęk dzwonów kościelnych.

— A-larm! A-larm! — jęczały dzwony.

— Aaaalaaarm! — wyły syreny.

Nagle pogasły światła latarń ulicznych, wszystkie razem. Potem — kolejno światła okien. Drzwi sklepów trzaskały głośno. Ciemność ogarniała ulice, po których biegli ludzie.

Ktoś wołał:

— Do schronów! Wszyscy do schronów!

Tadzik wraz z innymi wbiegł do bramy i po krętych schodach zszedł do piwnicy. Było tu pełno ludzi. Jakiś kolejarz stał pod wysokim zakratowanym okienkiem i patrząc w górę, obserwował przeciągające nad miastem samoloty.



— Leci pięć kluczy po trzy maszyny — informował obecnych. — Nie widzą ulic, bo mają zapalone tylko lampki pozycyjne: zielone i czerwone na skrzydłach i białe na sterach ogona.

Słychać było daleki, stłumiany warkot i szum silników.

— Oho! — zawołał podoficer, stojący obok kolejarza.— Teraz świecą reflektorami. To pozoruje bombardowanie.

— Gdzie oni są? — zapytał ktoś z tłumu.

— Pewnie nad Podgórzem. Ktoś tam musiał zostawić światło w oknach.

— Przy prawdziwym ataku już by nie było Podgórza —

powiedział jakiś robotnik. — Przez takiego jednego zginęłoby paręset ludzi...

— Pewnie, pewnie — przyświadczano dokoła.

Do drzwi ktoś się dobijał.

— Otworzyć! Inspekcja Obrony Przeciwlotniczej — rozległ się głos. Wszedł oficer i dwuch cywilnych z opaskami na rękawach.

— Czy ma tu kto maskę przeciwgazową? — zapytał jeden z nich.

— Ja mam — Tadek wysunął się na przód.

— Wiesz, gdzie jest fabryka Martensa?

— Wiem, proszę pana.

— Trafisz pociemku?

— Trafię. Tam pracuje mój ojciec.

— No to leć. Tu masz kartkę do dowódcy patrolu sanitarnego. Oddasz ją kierowcy samochodu Czerwonego Krzyża, który stoi przed bramą fabryki. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— A włóż maskę. Potrafisz?

— Potrafię.

Wymknął się z piwnicy i pobiegł szybko w ciemności dobrze znanymi ulicami. W pięć minut był na miejscu.

— Nareszcie — powiedział kierowca, odbierając kartkę z rozkazem. — Mamy gdzieś jechać, a nie wiem dokąd, bo telefon zepsuty. Tam ktoś nagle zachorował... Ulica Wrocławska — przeczytał stłumionym przez maskę głosem.

— Wie pan gdzie to jest? — spytał Tadzik.

— Wiem, wiem. Dziękuję ci. Wracaj do domu. Aha — przypomniał coś sobie. — Jak się nazywasz?

— Tadeusz Wyręba.

— To twój ojciec, Jan Wyręba, jest majstrem w mojej fabryce?

— Tak — odrzekł Tadzik zaskoczony tym pytaniem. — To pan... to sam pan dyrektor? — zdumiał się, poznawszy wreszcie głos pana Martensa.

— Tak, — zaśmiał się dyrektor pod maską. — Przecież jestem członkiem L.O.P.P. Wszyscy dziś jesteśmy w ruchu, co? Alarm gazowy, chłopcze. Każdy z nas jest potrzebny i każdy się czegoś przy tym nauczy, prawda?

Samochód zawarczał i ruszył z miejsca. Tadzik zamyślony wolno wracał do domu. Zaczynał rozumieć, czego może dokonać dobra organizacja i karność. Jak potężną broń stanowi.

— Nieprzyjaciel będzie miał twardy orzech do zgryzienia — przyszły mu na myśl słowa ojca.

Janusz Meissner



Lato w Laponii

Setki i tysiące lat życia osiadłego posiadają już za sobą wszystkie narody europejskie. Tylko u krańców naszego kontynentu, tam gdzie dostęp kultury był utrudniony zachowały się resztki ludów koczowniczych.

Nie ulega wątpliwości, że najbardziej pierwotne formy bytowania wśród ludów Europejskich zachowali do dziś dnia Lapończycy. Wprawdzie wpływy, które promieniują przez szwedzkie szkolnictwo powoli zmieniają tryb życia Lapończyków z wędrownego na osiadły, tym niemniej jednak trzeba będzie czekać długie lata, nim koczownik zdecyduje się zamienić przenośną jurtę na dom, a myślistwo i rybołóstwo zastąpić jakimś innym stałym zajęciem.

Istotną przyczyną zmuszającą Lapończyków do ciągłej wędrówki po przez góry i tundry są wymogi hodowli renów. Pożyteczne to zwierze, oddające człowiekowi na dalekiej północy tak nieocenione usługi, jest jednak bardzo delikatne i w razie złych warunków szybko zdycha. To też gdy nadchodzi krótkie lato i miliardy komarów wylęgłych z błot i łąk uniemożliwiają życie ludziom i zwierzętom, wtenczas zaczyna się okres dorocznej wędrówki w górę, na hale położone u stóp lodowców. Tam, na granicy wiecznego śniegu, w ostrym i rześkim powietrzu, żadne choroby nie grożą renom.



Obóz letni Lapończyków

Przygotowania do wyruszenia trwają około dwóch tygodni. Trzeba połatać płachtę namiotową, poreperować uprząż i juki, w które zapakuje koczownik całe swe ubogie mienie, wreszcie rozdzielić na poszczególne stada pomieszane reny różnych właścicieli.

Pewnego z góry oznaczonego dnia zbierają się Lapończycy ze swymi stadami w oznaczonej dolince. Tu podczas letniego spędu nastąpi podział renów między prawych właścicieli. Zwierzęta rozpoznaje się po znakach, jakie każde ma wycięte na uchu.

W tym celu wszystkie stada zostają spędzone do wielkiej zagrody. Reny są przerażone, biegają, beczą, bodą się między sobą. Teraz następuje najważniejszy moment. Do zagrody wchodzą Lapończycy i z rozszalałej masy zwierząt wyłapują swą własność. Dla zwykłego człowieka pozostanie zawsze tajemnicą, jakim cudem koczownik może rozpoznać swego rena po małych nacięciach na uchu wśród tylu innych rozbieganych zwierząt. Lassa świeszczą bez przerwy, coraz to nowy roz-



Mleko renie, ulubiony napój Lapończyków

brykany bydlak złapany w mocne skręty nasmołowanego powroza daje się spokojnie odprowadzić do osobnej zagrody. Cielęta, biegające bezradnie wokół matek, zostają również wyłapane. Właściciel kilku cięciami noża wyrzyna swój znak na uchu małego rena.

Praca trwa kilka dni. Gdy wreszcie wszystkie zwierzęta są podzielone na stada, a starosta spędu załagodził spory wynikłe przy podziale, koczownicy przygotowują się do wyruszenia. Wreszcie cała karawana z ojcem rodziny na czele rusza w góry.



Zalesiona okolica Laponii

Coraz wyżej i wyżej pną się koczownicy. W dole zostaje błotnista tundra, ogromne bory, setki jezior i moczarów. W górze błyszczą w słońcu lodowce, z hukiem pędzą w doliny rwące potoki.

Przez łąki wiecznie wilgotne, pokryte małymi krzewinkami, prowadzi Lapończyk swe zwierzęta. Przodem kroczą pod nadzorem mężczyzn juczne reny, dalej kobiety pędzą kozy, z tyłu ciągnie stado strzeżone przez pastuchów i małe o długiej, żółtej sierści psy.

Czasem w stadzie powstaje popłoch; to reny zwietrzyły najgroźniejszego wroga — wilka lub niedźwiedzia. Wtenczas mężczyźni uzbrojeni w stare strzelby, kije okute żelazem, wysuwają się na czoło, by odeprzeć napaść.

Doprowadzenie karawany do porządku marszowego jest kwestią dłuższego czasu. Ren jest zwierzęciem nadzwyczaj niesfornym, mało oswojonym, nie słucha ludzi, do wszystkiego trzeba go przymuszać. Gdy wreszcie karawana jest sformowana powoli rusza w dalszy pochód. Czasami napotyka na swej drodze rwące górskie potoki. Przeprawa jest trudna i kłopotliwa. Trzeba podtrzymywać zwierzęta, by ich prąd nie poniósł, przenosić na plecach małe cielęta renie, które o własnych siłach nie przeszłyby brodu. A woda jest przeraźliwie zimna, wokół leżą płaty śniegu, który nigdy nie topnieje, temperatura mimo lipca wynosi nie wiele ponad 10ºC. Takie są warunki lata w Laponii.

Z kilku badylów, z gałązek krzewów z mchu rozpalają koczownicy ogień. Zjawia się kawa, napój tu tak popularny, że pije się go w każdej porze dnia, przy każdej sposobności. By uczynić ją „smaczniejszą" Lapończycy wsypują do imbryka trochę soli, czasami dodają mleka reniego, koziego lub masła. Wreszcie gdy napój jest przygotowany, trzymając kawałek cukru w zębach, pije go z drewnianych brzozowych kubkach. Stanowi to jedyne pokrzepienie i rozgrzewkę po przejściu rzeki. Za chwilę cała karawana rusza dalej.

Po kilkunastu godzinach marszu w blasku niewschodzącego słońca północy osiągają koczownicy jakąś halę czy pastwisko, dogodne do rozbicia obozu. Kobiety budują jurtę, przygotowują posiłek, mężczyźni pędzą reny do wodopoju, a potem na łąkę. Gdy nadchodzi północ wszyscy idą spać.

Lapończyk, potrafi nieraz pracować kilkanaście godzin na dobę, na ogół jednak lubi długo spać. O drugiej po południu bierze się do pracy. Gdy kobiety spędzają większą część czasu w obozie zajęte dozorowaniem renów, Lapończyk włóczy się po okolicy, szuka jaj ptasich, poluje, łowi ryby w górskich jeziorach i potokach. W tym okresie czasu hodowla renów nie wymaga specjalnych wysiłków, ani pracy.

Po kilku dniach trzeba zmieniać koczowisko. Znowu rusza całe stado obładowane rzeczami i zapasami pożywienia na nowe tereny, szukać nowych pastwisk.

Czasami podczas długiej wędrówki letniej, umrze dziecko lub starszy człowiek, który nie mógł wytrzymać ciągłych marszów, moknięć w lodowato zimnej wodzie, ani nocnych mrozów. Jako dobrzy chrześcijanie wzdragają się Lapończycy przed pochowaniem w górach, gdzie prędzej czy później trup stałby się pastwą zwierząt. Dlatego z kory i kilku desek robią coś na kształt sanek-trumny w której wożą trupa aż do czasu, gdy będzie go można złożyć na cmentarzu w wiosce parafialnej. Surowy klimat zapobiega szybkiemu psuciu się ciała.

Gdy słońce, które dotychczas bez przerwy świeciło na niebie, zachodzi, zaczynają się noce zrazu krótkie dwu, trzy godzinne, potem coraz dłuższe; wtenczas zbliża się koniec letniej wędrówki i czas powrotu w doliny. Nocne przymrozki zniszczyły komary, ścięły powłoką lodową niezgruntowane bagna. Świerkowe lasy dolin stają się schronieniem Lapończyków i ich stąd podczas długiej nocy polarnej, mrozów i huraganów pędzących od Oceanu Lodowatego.

Stanisław Lukas.



Skóra z rena okryciem Lapończyka

PRZEGLĄD WYDARZEŃ

Miesiąc ostatni, pamiętny, historyczny miesiąc w dziejach nowej Europy powojennej, upłynął pod znakiem sprawy Czechosłowacji. Wobec niej ustąpiły na plan drugi wszelkie inne zagadnienia nie tylko u nas, ale i za naszą zachodnią, nie mówiąc już o południowej, granicą. W nerwowo drgającym blasku czeskiej żarówki zbladło nawet i znikło zagadnienie wojny hiszpańskiej i Dalekiego Wschodu. Inna rzecz, że kontakt do tej żarówki nie leżał właściwie, tak jak należałoby się tego spodziewać, w Pradze, lecz przenosił się zgodnie w wolą wielkich momentów politycznych z Belina do Londynu, z Londynu do Berchtesgaden, i dalej do Godesbergu i **Monachium.** O losie Sudetów rozstrzygnęło właśnie to ostatnie, gdzie 29 września obradowała

konferencja szefów rządów

czterech mocarstw zachodnich z udziałem Mussoliniego, premiera Chamberlaina, Hitlera i premiera Daladiera. Wiemy z prasy codziennej, jaki miała ona przebieg, jakie następstwa i jakie okoliczności jej zwołaniu towarzyszyły. Nie o to też nam teraz chodzi. Rzeczą istotną dla nas jest wskazanie na pewne procesy, jakich dokonywanie się, czy też istnienie, konferencja monachijska dowiodła. **Uwaga pierwsza,** jaka się nasuwa i jest dla nas ze względu na nasz sojusz z Francją szczególnie cenna, to to, iż Francja, idąc bez skrupułów po linii własnych jedynie interesów, potrafiła w ciągu dosłownie kilkunastu dni zmienić swoje stanowisko w sprawie czeskiej z wiernie sojuszniczego, gotowego zaryzykować nawet wojnę w obronie całości Czechosłowacji, na mniej lub więcej niezobowiązujące, stanowisko obrończyni pokoju ponad wszystko i za wszelką cenę. Zwrot o 180° — a jednocześnie dobra, podwójna nawet nauczka dla nas: nie ufaj zbytnio w żelazną moc sojuszów, bo nazbyt łatwo okazuje się, że są z gliny — i — buduj własną potęgę, jeśli chcesz być pewnym własnej skóry. **Drugi wniosek,** jak można wyciągnąć z przebiegu obrad, zamkniętych konferencją monachijską, dotyczy Anglii, która jeszcze raz dowiodła, że podobnie jak Francja, choć w mniej krępujących okolicznościach i z innych powodów, gotowa jest zapłacić wszelką możliwą cenę (oczywiście nie z własnej kieszeni, ażeby utrzymać pokój na kontynencie umożliwiający jej normalny rozwój i przygotowanie się do ewentualnej, bodajże nieuniknionej, rozgrywki. Wreszcie **wniosek trzeci** brzmi, iż jedynie twarda, konsekwentna, przede wszystkim zaś mocą wewnętrzną poparta polityka może doprowadzić do osiągnięcia uprzednio planowanych rezultatów. Taką politykę zastosował Hitler i otrzymał to, czego zażądał. I tu również nauka dla nas: twórzmy siłę wewnętrzną, jeśli chcemy być poważni i jeśli nie chcemy być stroną słabszą w rozgrywaniu partii politycznych szachów z Niemcami.



Z konferencji w Monachium. Stoją od lewej: Chamberlain, Daladier, Hitler, Mussolini i hr. Ciano.

Tymczasem jednak, nim reszta Europy zdążyła przetrawić ciężkie chwile ostatnich tygodni, ośrodek ognia przesunął się wzdłuż Karpat na wschód i zatrzymał się

nad Olzą.

Ten moment jest dla nas najaktualniejszy i jeśli poruszamy go dopiero teraz, to jedynie dlatego, ażeby zachować chronologiczną ciągłość wypadków. Otóż na tle tego zagadnienia wytworzyła się sytuacja dość paradoksalna i w gruncie rzeczy nieco kłopotliwa. Polska z własnej woli i w myśl własnych założeń politycznych wysunęła jednocześnie niemal z Niemcami żądanie zrewidowania granic Czechosłowacji. Stanowisko, jakie wobec tego posunięcia zajęły mocarstwa zachodnie okazało się jednak nie tylko niejednolite, lecz przede wszystkim wręcz przeciwne temu, co mogłoby się dotychczas wydawać pozornie słusznym. Żądania nasze, żądania słuszne i konieczne znalazły pełne i bardzo wyraźnie akcentowane poparcie zarówno u Hitlera, jak przede wszystkim u Mussoliniego, którzy publicznie domagali się przywrócenia ziem polskich, zagrabionych przez Czechów, do Macierzy. Natomiast sojuszniczka nasza, Francja oraz związana z nią ściśle Anglia zajęły stanowisko przeciwne, i jak wynika z szeregu wynurzeń czołowych osobistości francuskich — niejednokrotnie wrogie. Jasnym jest, jak wielkie rozgoryczenie wywołał ten obrót rzeczy w społeczeństwie polskim. Na szczęście mamy pod tym względem nieco doświadczenia i na taką ewentualność byliśmy przygotowani. Mimo to jednak dało się nieraz słyszeć nie pozbawione pozorów słuszności zdania, iż jeśli Polska otrzyma Zaolzie, stanie się to z łaski Mussoliniego i... co gorsza — Hitlera: a tego żaden Polak nie mógłby sobie życzyć. Tak się jednak nie stało i społeczeństwo oraz rząd polski potrafiły dowieść, że nie tylko nie pozwolą, ażeby o **sprawach nas interesujących rozstrzygano bez nas,** jak to chciała częściowo uczynić konferencja w Monachium, lecz ponadto, że **sprawę Śląska Zaolzańskiego rozstrzygnie samodzielnie,** bez niczyjej pomocy, tak, jak przystało na wielkie i całkowicie suwerenne państwo. Do Pragi poszło ultimatum i pod naporem faktów i groźby zostało przyjęte. Po 20 latach niewoli czeskiej, po 20 latach akcji wynaradawiającej ludność polską za Olzą dowiodła ofiarą krwi „ostatniego powstania śląskiego", że wolą jej jest znaleźć się w granicach państwa polskiego. Dziś stało się to już faktem. Jesteśmy razem. Niewielki choć bogaty i gęsto zaludniony skrawek rdzennie polskiej ziemi stał się częścią województwa śląskiego.

Ale zainteresowania polityczne rozgorączkowanych jeszcze umysłów przesuwają się już gdzie indziej, gdzie walą się ostatnie fundamenty państwa czesko - słowackiego — na

Słowaczyznę, Węgry i Ruś.

Słowacy bowiem na odbytym w dniu 6 bm. zjeździe w Żylinie zażądali w sposób ostateczny pełnej autonomii, na co rząd praski musiał się zgodzić, widząc coraz wyraźniej, że system, reprezentowany przez dotychczasowego prezydenta Benesza, system centralizacji — zawiódł na całej linii. Jednocześnie odbierają swoje ziemie Węgry i oglądają się na Ruś podkarpacką.

St. Leo.



Słów kilka o sztuce

W zespole kulturalnych przejawów życia ludzkiego sztuka, najogólniej powiedziawszy, jest przekładem na język form plastycznych — świata pojęć, zainteresowań i całej postawy wobec życia, które w sumie stwarzają to, co nazywamy zwykle „klimatem", duchem czasu. W tym stopniu przynajmniej — w jakim piśmiennictwo jest przekładem tego klimatu na język literacki, a muzyka — na mowę tonów.

Język form plastycznych jest bardzo związany z otaczającym życiem. Silny związek z określonym **tematem** pozwala odzwierciedlać bezpośrednio wszystko to, co można z życia wokół siebie dostrzec wzrokiem. Jest to związek czysto zewnętrzny.

Zainteresowania sztuki wykraczają daleko poza tematykę. Istnieje przede wszystkim zagadnienie **formy artystycznej**, zmieniającej się w silnej zależności od upodobań estetycznych czasu. A właśnie upodobania estetyczne, czyli smak, gust — nie są bynajmniej tak abstrakcyjne i bezinteresowne, za jakie się je zwykle uważa. Są one wykładnikiem atmosfery życia w danym czasie.

Jeżeli w średniowieczu epoka gotyku stworzyła w sztuce świat ascetycznych, zdematerializowanych postaci, przepalanych wewnętrznym ogniem, co uwidacznia się w rosnącej nerwowości skrętów i zwojów fałd, w dramatycznej eksplozji ruchu — to jest odzwierciadleniem duchowości ówczesnej, w której ekstatyczne wzloty mistycyzmu stykały się z przejawami nieujawnionych namiętności.

Jeżeli dążeniem renesansu było uzyskać wierne odzwierciadlenie świata w największym spotęgowaniu jego bogactwa i różnorodności — to widać w tym znowu typowy odruch epoki, wszelkimi siłami zwracającej się ku doczesności i stającej w podziwie wobec niespostrzeganego dotąd prawie piękna form natury.

Oczywiście należy być niezmiernie ostrożnym, aby tego rodzaju wyjaśnianiem faktów nie popaść w uproszczanie zagadnień. Z tego, że sztuka jest w dużym stopniu wypływem życia współczesnego, nie należy wyciągać wniosku, że jest **jedynie** jego wypływem. Tym mniej należy dopuszczać możliwość tworzenia sztuki „programowej". Sztuka jest samorodnym wykwitem panujących warunków, ale sięgającym o wiele szerzej i głębiej, niż zakres ideałów państwa czy narodu. Przemiany jej tkwią korzeniami w wielkim rytmie ogólnoludzkich i ogólnoświatowych przemian i to nadaje ich przejawom wewnętrzną siłę, organiczny związek i zakreśla prawa rozwoju, niezależne od zmiennych zjawisk chwili. „Sztuki nie można robić — sztuka się **dzieje**" powiedział pewien niemiecki historyk sztuki.

Oczywiście istnieją w sztuce duże odchylenia narodowe, co jest zupełnie zrozumiałe. Ale dzieje sztuki nie są zsumowaniem dziejów sztuk narodowych — przeciwnie, są wykrystalizowaniem pewnej linii przewodniej, kojarzącej różnorodne przejawy artystycznej twórczości.

Ale nie chcę już dłużej teoretyzować. Wypowiedziałam tych kilka uwag aby najogólniej uprzytomnić znaczenie i rolę zjawiska sztuki. W kwestii ustosunkowania się do tych zagadnień przechodzimy obecnie pewien kryzys. Być może charakter sztuki ostatnich kilkudziesięciu lat spowodował odsunięcie jej jakby na ubocze zainteresowań ogółu. Demokratyzacja stosunków wyniosła już od dawna sztukę z życia codziennego niektórych warstw, koncentrując ją w gmachach publicznych oraz na terenie galerii i wystaw — a zatem czyniąc z niej w naszym programie życiowym pewien nadprogram, bo trzeba pójść, obejrzeć, nastawić się odpowiednio, co nie zawsze jest łatwe i możliwe; kontakt artystów ze społeczeństwem, a zatem wytwarzanie określonej atmosfery artystycznej, jest też z wielu względów ograniczony. Ale nie wolno zgodzić się na takie zubożanie życia. W każdych warunkach trzeba znaleźć drogę dla zaspokojenia duchowych wymagań człowieka. Ale ażeby mieć siłę to osiągnąć — należy znać wspaniałe **dzieje sztuki** — pamiętać, że przez tysiące lat stanowiła ona czynnik o kolosalnym i wielostronnym znaczeniu w życiu społeczeństw, — doceniać wielkość jej zjawiska.

Zagadnienie sztuki polskiej jest dla nas oczywiście najaktualniejsze i najdostępniejsze. Ale nasuwa ono może więcej trudności w podchwyceniu swego ogólnego oblicza niż na jakimkolwiek innym terenie.

Dla wytworzenia się sztuki narodowej potrzebne jest bowiem oprócz wielu innych czynników — przede wszystkim istnienie centrum o określonych zainteresowaniach i upodobaniu. Tak było w Europie zachodniej — Niemczech, Francji, Włoszech. Kraje zaś w których następuje krzyżowanie się różnorodnych dróg kulturalnych, rozerwane na obszary działania obcych sobie wzajemnie wpływów — wytworzą sztukę o charakterze raczej niezdecydowanym i stosunkowo mało indywidualnym. To zjawisko zaobserwować można na terenach Polski, której położenie na pograniczu zachodniej i wschodniej Europy, czyli na obszarze zetknięcia się dwóch odrębnych zespołów kulturalnych — w dużym stopniu odbiło się na charakterze i poziomie jej twórczości artystycznej. Średniowiecze pozostawiło nam wprawdzie w zakresie architektury, rzeźby i malarstwa zabytki pierwszorzędne — ale jeśli nawet były one budowane i wykonywane przez Polaków, to



Holbein — portret z drezdeńskiej galerii obrazów (wiek XVI).

stosunkowo niewiele noszą na sobie indywidualnego polskiego piętna. Niemcy i Czechy, a potem Francja i Włochy najwięcej dostarczyły nam wzorów i pomysłów. Od Renesansu począwszy, pojawia się najpierw napół świadoma tendencja wytworzenia pewnej odrębnej syntezy w obrębie panującego świata form, ale akcja ta otrzymuje właściwą dyrektywę dopiero w czasach Stanisława Augusta, które uwarunkowały podniesienie sztuki polskiej, przede wszystkim w zakresie malarstwa, w wieku XIX do poziomu europejskiego.

Lata niewoli były, dla twórczości polskiej, okresem wspaniałego rozkwitu. Zahamowanie życia w wielu dziedzinach spowodowało jakby przerzut energii twórczej na pole literaty, muzyki, malarstwa. Ale jednocześnie okres ten spowodował wielką lukę, przeciwdziałając systematycznym pracom badawczym, przede wszystkim jeśli chodzi o dawną sztukę polską. Dla uzyskania orientacji w tym materiale potrzebne było poparcie czynników rządzących, które organizowałyby metodyczną akcję inwentoryzowania zabytków i opieki nad nimi. Ale wskrzeszenie świadectw naszej bogatej przeszłości nie szło po myśli zaborców. Toteż wiek tej bezczynności odbił się fatalnie na liczbie i stanie zabytków.



Fragment postaci Madonny.
Muzeum Diecezj. w Płocku (wiek XV).

Leży przede mną pierwszy zeszyt Inwentarza topograficznego — „Zabytki sztuki w Polsce", dotyczący powiatu nowotarskiego w woj. krak., wydany przez Min. W. R. i O. P. w W-wie, r. 1938.

Układ topograficzny pozwala zorientować się w całokształcie zabytków w danej miejscowości. Dokładny opis, uzupełniony często fotografiami, oraz literatura przedmiotu — czynią z tego wydawnictwa bezcenny podręcznik dla każdego, kto pragnie poważnie zaznajomić się ze sztuką na tym terenie.

Niejednego z czytelników może zastanowić, jak bogaty plon może dać praca inwentaryzacyjna na obszarze jednego powiatu. Dla przykładu podam kilka cyfr.

A więc: murowanych kościołów w głównym zrębie gotyckich — 4, z k. w. XVIII — 8 drewnianych gotyckich — wieków XVII i XVIII — 10. Malarstwo bogate szczególnie w średniowieczu — dostarcza 2 przykładów polichromii ściennej, 11 — malarstwa tablicowego. W okresie rzeźby drewnianej mamy kilkanaście okresów z epoki gotyku. Tak się przedstawia wykaz głównych typów zabytkowych, nie licząc sztuki zdobniczej. Wśród nich znajduje się tak kapitalny zabytek, jak drewniany polichromowany kościół z k. XV w. w Dębnie zaopatrzony w autentyczny wystrój gotycki.

Wydaje mi się, że ten przykład pozwoli najogólniej uprzytomnić sobie na jak bogato wyposażonym w zabytki terenie—żyjemy. I że istnieją one wokół nas, gdziekolwiek się znajdujemy, w mieście, czy na wsi, najwyżej w promieniu kilku lub kilkunastu kilometrów. Otaczają nas, mówią nam o sobie. Idźmy posłuchać ich opowiadań. Jedno dokładne zwiedzenie małego prowincjonalnego kościołka, niejednokrotnie da nam piękny przekrój historii epok i studiów. Zabytek jest kutą w kamieniu, rzeźbioną w drzewie, malowaną farbami na płótnie, kroniką. Ale nie tylko o własnych dziejach mówi nam śladami przemalowań w obrazach i nawarstwieniem przybudówek w gmachach. Niesie w sobie ogromne bogactwo treści, jest unieśmiertelnieniem przeszłości.

M. Ł.

KIELECKIE

Lami — pamiątka.

Księżyc - widziadło żegluje wśród chmurnej krainy marzeń,
spływa srebrzystą cieczą w baśniowy, szumiący las,
kraj naokoło faluje świetlnym, rtęciowym obrazem
lub gra,
cieniami się snuje,
gdy księżyc mlaszczące wargi zatapia w śmietance chmur,

Gdy psów dalekie szczekanie narosłą ciszę roztarga,
w wichrach zapachem przylgnie daleki, jodłowy bór,
gdy słowik zabłyśnie świetliście
nad różą z rozkoszy zamarłą,
a w drzew zaklętych koronach
szeleszczą liście...

W sercu boleśnie płoną
gorzkie słów jego perły,
rżą w ustarczkach płomiennych prędkie, rycerskie konie,
ilu Radków dziś marzy o chwale Judymowej,
gdy uczuć skarb Salomea w żałobnej rzece chroni.

Gdy tętnią widziadła cwałem,
marzenia snują się mgłami,
nad daleką przestrzenią zawisa duch Stefana —
jesteś Heleną z Dersławic,
gdy ja gnam szlakiem Rafała,
zanim się zmienisz w Lami
z tęsknoty i smutku utkaną.

Po Helenie zostało piękne i groźne wspomnienie
koncha perłowa sącząca z siebie bolesną krew,
po Tobie czarna przepaść i czarne obłąkanie,
pod niebem wygwieżdżonym
wichrów samotny śpiew.

Nienasyconym sercem i orłowymi szpony
zaklęciem wiernej rzeki w wygasły zmieniłeś popiół
aleję marzeń o szczęściu
wiosenne westchnienia do niej,
otwarłeś blizny głębokie
słowem, raniącym jak pięścią.

Duchu tragiczny ulatuj,
rozpłyń się w cichej powieści,
niebo już płonie na wschodzie,
wiatr gwiżdże w tonacji a-dur .

Ty jesteś ciągle ze mną,
niebo się nie rozpogodzi...

. . . .

opasły księżyc się karmi
przejrzystą śmietanką chmur.

Wacław Józefowski (Kraków)

MATKA

Zaczęło się od tego, że Hanka miała dostać nowy fartuszek. Bo choć to już ostatni rok szkoły, jednak zeszłoroczny fartuch nie nadawał się już do noszenia. Matka Hanki obiecała więc, że zaraz po pierwszym, jak tylko ojciec dostanie pensję, szkolny fartuszek dla Hani będzie pierwszym sprawunkiem.

I wtedy Hanka powiedziała, że Natka, jej koleżanka ze szkoły, ma wielkie zmartwienie — jest biedna, ledwie starczyło jej pieniędzy na kupno książek, chodzi bez fartucha i już kilka razy nauczycielka upominała ją za to, no a Natka nie ma matki, utrzymuje ją ciotka, której musi w sklepie pomagać i w ogóle sytuacja beznadziejna. Matka Hani namyśliła się:

— No cóż Haniu, dwóch fartuszków nie mogę sprawić, nas na to nie stać...

— Nie mamusiu, ja tylko tak wspomniałam o Natce. —

— Ale jeżeli zrezygnujesz z elegancji i wyrzekniesz się kupionego fartuszka, to nabierzemy materiału i ja sama uszyję dla was obu. Ale to już nie będzie takie ładne.

Hania zaczerwieniła się po same uszy.

— Matuś chcesz? Ja wolę żebyśmy obie miały skromniejsze rzeczy, a tak przykro patrzeć jak Natka kryje się po kątach w czasie pauzy, żeby jej nikt nie zwrócił uwagi.

— No więc dobrze. Idź i załatw to delikatnie, ja dziś kupię materiał, a jutro przyprowadź Natkę, to zmierzymy.

Hania poszła na Marszałkowską, wiedząc, że zastanie koleżankę w sklepie. Przeciskając się między ludźmi Hania rozmyślała — jakby tu delikatnie powiedzieć o tym prezencie. A może się obrazi? To by było okropne! Stanęła wreszcie przed małym śmiesznym sklepem. Była to klinika lalek. To był właśnie sklep ciotki Natki i Hania zawsze myślała o nim wesoło, to taki śmieszny sklep! Dziś jednak spojrzała na ten bezład na wystawie z innej strony — przecież za grosze, które ludzie płacą za reperacje tych połamanych lalek utrzymuje się cała rodzina, a Natka i jej brat mogą się uczyć...

Zajrzała do środka. Natka pakowała za ladą jakąś lalkę, a klientka płaciła jej ciotce należność.

Hania zapukała w szybę, Natka kiwnęła jej głową i za chwilę wyszła.

— Mam do ciebie interes — pójdziesz?

— Dobrze, ale nie na długo — poczekaj tu chwilę, wezmę palto. Gdy szły z Natką Marszałkowską w stronę kościoła na Koszykach, gdzie był ogródek, zaczęły rozmawiać o tysiącach rzeczy, wreszcie Hania przemogła nieśmiałość dławiącą ją w gardle i nagle rzekła:

— Słuchaj Natka, moja mamusia kupiła za dużo materiału dla mnie na fartuszek i starczy na dwa, jeżeli chcesz przyjąć, to mamusia uszyje także dla ciebie.

Natka zaczerwieniła się okropnie i wpadła do pierwszej bramy.

— Jezus Maria! Obraziła się! — Hania pobiegła za nią i zaczęła uspakajać płaczącą w kącie koleżankę.

— Natka nie płacz! Natka ja nie chciałam cię dotknąć — dlaczego nie mamy mieć jednakowych fartuszków — pomyśl jak to będzie przyjemnie.

A Natka chlipiąc mówiła:

— Ja się nie obraziłam Haniu i bardzo ci dziękuje — tylko ja już od trzech lat nie mam mamusi i tak mi żal. Nikt dotąd nie zatroszczył się o mnie naprawdę, nikt nie pomyślał o mnie, nie zrobił mi żadnej niespodzianki — taka jestem sama.

— Nie płacz Naciu—Hance też łzy zakręciły się w oczach.

— Ty nie wiesz jak to ciężko; ciotka jest dobra, ale to nie to samo co matka. Uważa mnie już za dorosłą, która sama musi myśleć o sobie, a mnie brak miłości i tego żeby się ktoś o mnie zatroszczył jak o dziecko. Przecież ja jeszcze nie jestem dorosła.

Chodź Naciu, niepodobna tu stać, przejdziemy się trochę.

Gdy Hanka odprowadziła koleżankę znów na Marszałkowską przed sklep, usłyszała na pożegnanie:

— Hanka — ty kochaj swoją matkę i bądź dla niej dobra, matka jest jedna na świecie.

Hania zaczęła się znów przepychać zatłoczoną ulicą, czegoś jej pilno było do domu, a w uszach dzwoniły ostatnie słowa koleżanki.

Matka! Codzień doznawała tysiące dowodów jej troski. To był ktoś, kto wstawał pierwszy by jej dać śniadanie przed szkołą, to był ktoś, kto jej codzień w płaszczyk wkładał jabłuszko, ktoś kto bezsenne noce spędzał przy jej łóżku, gdy była chora, ktoś kto z pieniędzy przeznaczonych na własne ubranie dawał jej na kino, ktoś kto ją zmęczoną dniem całym i usypiającą w łóżku gładził po głowie na dobranoc. A gdyby to się nagle skończyło?

Hanka gnana okropnym strachem, kłusem biegła do domu i zaczęła dzwonić jak na pożar. Otworzyła jej matka.

— Co się dzieje, Haniu?

— Mamusiu jesteś? — i Hanka rzuciła się matce na szyję płacząc ze szczęścia. **Joanna Podlodowska.**

ANTON ZISCHKA

„NAUKA ŁAMIE MONOPOLE"

Książnica - Atlas. Lwów — Warszawa
Przekład Bronisławy Keuprulian.

Zasadnicza teza tej książki jest następująca: nauka wykreśla tory historii świata. Uczony w dziejach ludzkości znaczy więcej, niż polityk, gdyż potrafi jednym odkryciem, łamiącym np. jakiś monopol, złamać władzę i wyzysk jednego państwa nad drugim. Uczeni zmieniają stosunki społeczne i polityczne tak wewnątrz państw, jak i między państwami. Nauka coraz bardziej niweczy przyczyny wojen, nierówny podział surowców.

Przez rozszerzanie możliwości produkcji surowców roślinnych na coraz to nowe tereny, przez wielokrotne zwiększenie plonów, przez opracowanie nowych sposobów produkcji, wreszcie przez wynajdywanie surowców zastępczych, uniezależnia coraz bardziej nauka jedne państwa od drugich. Daje im poczucie niezawisłości i siły. Zmniejsza i łagodzi konflikty między państwami i w ten sposób prowadzi do pokoju.

Cała książka jest ilustracją tej tezy. Ilustracją żywą i fascynującą. Sprawy walki o zboże i monopolów zbożowych, bawełnianych, kauczukowych, sprawy zapasów surowców metalicznych i zapasów energii, w końcu sprawy całej litanii surowców zastępczych są wyłożone w sposób ścisły i przystępny, a jednocześnie nadzwyczaj zajmujący. Do łatwości czytania przyczynia się też tłumaczenie prostym językiem.

Zastanawiającym i zdobywającym sympatię i zaufanie do autora jest jego optymizm. Widzi on wprawdzie, że „nauczyliśmy się już wzlatywać w niebo, ale nie umiemy jeszcze poruszać się po ziemi, aby nawzajem się nie potrącać", ale wierzy, że nauka rozwiąże wszystkie prawie trudności materialne i moralne ludzkości. Widzi zaczątki wielkiej syntezy nauki — prawdziwej wspólnoty narodów i całej ludzkości.

Nas, którzy znamy Niemców z opowiadań z czasów niewoli i z... mów Hitlera dziwnie uderza pacyfizm Zischki. Nie razi nas jego duma z nauki niemieckiej, niemieckiego przemysłu surowcowego. Jego szerokie poglądy i ogólnoludzkie plany i nadzieje budzą w nas zaufanie. Może on sam osądził by to, jako pierwsze błyski tej prawdziwej wspólnoty.

S. Werner



BIJEMY NA ALARM!

Reportaż z gimnazjum w Borszczowie.

Słońce stoi już ponad pasmem mgieł i topi ukośne, poranne promienie w węgielnie czarnej ziemi. Lasy z czarnych stały się ciemno - zielone od buków i wspaniale złote od klonów i dębów, ugory tracą matowość nocnej mgły i zaczynają skrzyć się drobniutkimi perełkami rosy. Jesień idzie na Podole i maluje je na purpurę, czerń i złoto, jak chyba żadna z dzielnic Polski.

Pociąg wlecze się niemiłosiernie i bezczelnie prowokuje do drzemki. To też z radością witam wielki napis na białej, podłużnej tablicy stacyjnej: „B o r s z c z ó w".

Jakkolwiek punktem centralnym moich zainteresowań jest gimnazjum, nie od rzeczy będzie, chociażby dla zilustrowania środowiska, w jakim się ono znajduje, powiedzieć słów parę o samym mieście.

Zewnętrznym wyglądem przypomina Borszczów dziesiątki miasteczek powiatowych chociażby w b. Kongresówce. Parterowe, przeważnie drewniane domki o niechlujnym, nie budzącym zaufania wyglądzie zalegają całe „śródmieście". Dopiero dalej, tam, gdzie teren zaczyna opadać, pojawiają się jakie takie ogródki a gdzieniegdzie porządny, murowany dom willowy. Te ostatnie, jak zresztą wszystkie niemal murowane domy w Borszczowie, zawdzięczają swe istnienie bądź to urzędom, bądź też obecności wojska (K.O.P.) i zakładom Państwowego Monopolu Tytoniowego (okolice, nadające się do uprawy tytoniu). Ludność pod każdym względem niezwykle mieszana. Jeśli chodzi o podział narodowy, przeważają handlarze, rzemieślnicy i robotnicy, dużo jest jednak urzędników i stosunkowo do ilości mieszkańców, przedstawicieli „zawodów wyzwolonych": nauczycieli i adwokatów. Ci ostatni zresztą bodaj, że prawie wszyscy są Żydami, których w ogóle — na około 9 tys. obywateli — posiada Borszczów większość. Pod tym względem Polacy ilościowo są zmajoryzowani, choć oczywiście, rekrutują się głównie z sfery urzędniczo - inteligenckiej i t.zw. „półinteligencji", nadają zasadniczy charakter miasta. Ukraińców jest niewielu.

Tak oczom moim przedstawiło się powiatowe miasto Borszczów. To też z tym większym zrozumieniem słuchałem wynurzeń objaśniającej mnie o tutejszych stosunkach **koleżanki S. S.**, której, jak i koledze B. D., przesyłam tą drogą **serdeczne podziękowanie oraz życzenia wytrwania** i osiągnięcia rezultatów na trudnym odcinku pracy polskiej na Podolu.

Bo też z największym szacunkiem, jakiego godna jest tylko prawdziwa i ciężka praca, trzeba się odnieść do wszystkiego tego, co czyni się tu dla podniesienia i rozwoju polskości. Powiat, jakkolwiek nie należy do najbardziej „ruskich", wymaga w gruncie rzeczy podobnie jak i jego stolica nieustannych zabiegów, ażeby dostarczyć, chociażby ludności polskiej, w jak największej ilości narodowej pożywki kulturalnej i możności zaspokojenia potrzeb oświatowych. Już chociażby naszkicowane poprzednio stosunki narodowościowe Borszczowa dają pod tym względem dużo do myślenia. Cóż dopiero, gdy zajrzymy do gimnazjum i szkoły powszechnej?

Szkoły powszechne są dwie: żeńska i męska, gimnazjum jedno — koedukacyjne z liceami: matematycznym i humanistycznym, przy czym to ostatnie obejmuje tylko klasę pierwszą licealną. W obu liceach jest zaledwie 26 osób. Do liceum musimy dokładać — mówi mi p. dyrektor Czesław Zając, do którego skierowałem się zaraz po przyjeździe — gdyż jest w nim tylko 26 uczennic i uczniów; ale mimo to jesteśmy gospodarczo samodzielni, mamy tylko jeden etat państwowy. A przed paru laty groziła nam likwidacja... Długi rosły, zalegało 20 tys. zł. pensyj nauczycielskich, o mało co Borszczów nie został pozbawiony gimnazjum. Odratował je z opresji właśnie dyr. Zając, za co należy mu się prawdziwa wdzięczność społeczeństwa borszczowskiego. A teraz gimnazjum liczy około 175 uczennic i czniów i ma mieć po 29 latach egzystencji, powiększony gmach, nawiasem mówiąc — bardzo ładny, gdyż klasy i pracownie nie mieszczą się już w dotychczasowych pomieszczeniach. Ten pomyślny obrót rzeczy nie da się jednak odnieść do wszystkich dziedzin życia szkolnego, jakkolwiek i tu zachodzą zmiany na lepsze. „Jestem jedyną Polką w klasie — objaśnia kol. S. S. — W liceum matematycznym nie ma żadnej. W gimnazjum jest pod tym względem o wiele lepiej". Okazuje się, że w liceum przygniatającą większość stanowią Żydzi, wogóle jednak jest ich wśród uczenic i uczniów około 40%, Polacy stanowią zatem większość. Stan ten, będący odzwierciedleniem stosunków, panujących w samym Borszczowie, spowodowany został trudnościami, w jakich znajduje się wieś: brak pieniędzy na czesne i trudny dojazd. Istnieje co prawda bursa T.S.L.-u, ale nie może ona usunąć przeszkód wynikających z ogólnej sytuacji okolicy.

A cóż robi sama młodzież?

Pan dyrektor Zając jest zdania, że powinna się przede wszystkim uczyć, reszta potem. Koleżanka S. S. niezupełnie jednak podziela to zdanie, twierdząc, że co najmniej równie ważną jest praca społeczna i kulturalna wśród tutejszej ludności, szczególnie zaś młodzieży. Będąc jedyną Polką w klasie i najruchliwszą pod tym względem jednostką w szkole, koleżanka S. S., jak sama mi to mówi, musi robić wszystko — i prowadzić harcerstwo, gdzie jest drużynową, i być prezeską P.C.K., i zabiegać koło czytelni, i wreszcie być wszędzie tam, gdzie „coś się robi". Nie tak to jednak łatwo z tym „robieniem", bo szkoła chce widzieć w swych wychowankach tylko „uczniów" w dość wąskim tego słowa znaczeniu, a społeczeństwo polskie Borszczowa nie jest, niestety, zbyt entuzjastycznie nastawione do pracy społecznej. „Dwa dni temu urządzałyśmy tu ognisko — opowiada mi koleżanka S. S. — przyszło tylko 50 osób, gości. Ale jak byłyśmy

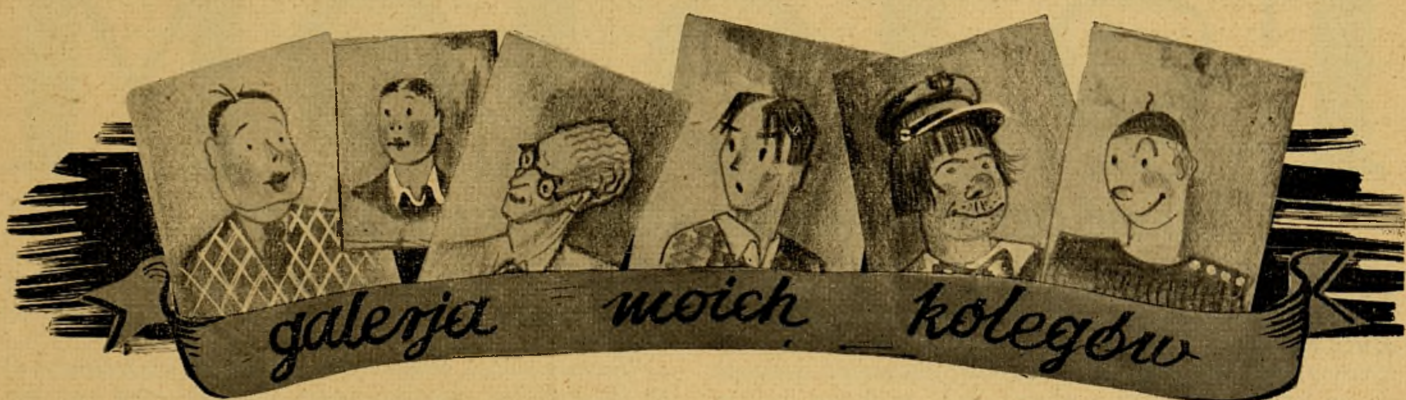
12 maja z ogniskiem na wsi, to cała wieś się zbiegła, a baby aż płakały. Harcerstwo jest organizacją tutejszej młodzieży szkolnej i idzie dobrze, szczególnie żeńskie. Obejmuje również szkoły powszechne i nastawiane jest na pracę wychowawczą. Ta jednak napotyka na wiele trudności — garną się do niej prawie wyłącznie Polki i Polacy, ci zaś należą głównie do młodszych roczników — nie wiele więc mają jeszcze kwalifikacji do samowychowywania się. Czyni to za nich tych parę osób z klas wyższych. Trzeba dać coś tym małym, trzeba i samemu coś czytać i iść razem ze światem, a nie w ogonie wydarzeń i przemian. Tymczasem w Borszczowie jest tylko jedna czytelnia-biblioteka, ale to mało. Dla czytelni szkolnej prenumeruje szkoła „Światowida" i „I.K.C.", „potem trzeba będzie wziąć jeszcze jaki tygodnik, gdy zrobi się zima i nie będzie można grać w piłkę". Niestety przykład nieodosobniony. Ale nie znaczy to, ażeby założyć ręce i pozostać połączonymi ze światem tylko tak cienką nicią. Zgadzam się pod tym względem z koleżanką S. S. i kolegą B. D.. w zupełności. To też radzimy wspólnie nad zmianą tego stanu. Bo przecież jest kilka dziewcząt i chłopców, którzy chętnie poczytaliby coś poważniejszego, którzy by chętnie porozmawiali o czymś więcej, niż sporcie i kinie — i tych paru osób nie wolno zmarnować, nie wolno hamować ich ambicyj, wyrastających ponad niski, przeciętny poziom. A zatem do roboty. Pracujcie nad sobą i dla innych, bo to jest obowiązkiem każdego; a jednocześnie pamiętajcie, że na Was, mieszkańców Podola, spada obowiązek szczególnie piękny, choć ciężki — obowiązek czuwania nad polskością tej ziemi. I możecie być pewni — tak Wy, jak i wszystkie uczennice i wszyscy uczniowie gimnazjów i liceów w rozsianych po całej Polsce „Borszczowach" — że jesteśmy zawsze gotowi Wam w tej pracy pomóc tak, jak na to pozwalają nam nasze możliwości. Wiemy, że jest to mało, ale wierzymy jednocześnie, że pozostające braki wypełnicie sami — i życzymy wszystkim, przede wszystkim zaś Wam, młodym strażnikom polskości z nad Zbruczów, Dniestrów i Horyniów, ażebyście dobrze postawione Wam przez Polskę zadanie wypełnili.

— — — — — — — — — —

Wyjeżdżam z Borszczowa po południu.

Długo jeszcze pozostałem myślą w Borszczowie, między drewnianymi domkami, w uliczkach, pokrytych cienką warstwą lepkiego, podolskiego błotka — i wydaje mi się, że stałem się naprawdę **łącznikiem między Wami, Czytelnicy,** między całą **młodzieżą polską a młodzieżą borszczowskiego gimnazjum.** I będę dumny, wiedząc, że podróż moja nie była próżną, że potrafiłem powiedzieć naszym koleżankom i kolegom z dalekich krańców Podola, że nie są sami, że pamiętamy o nich, że cieszymy się tak samo jak oni z ich każdego sukcesu i smucimy każdym niepowodzeniem, że jesteśmy wszyscy równi w naszej młodości, radościach i troskach.

Członek Komitetu Redakcyjnego.



Granatowa noc zwieszała się za oknem, płonąc barwami reklamowych neonów i migocąc miliardem światełek zakwitających w ciemnych zwierciadłach szyb. Ponad czerniejącymi zrębami dachów wirowały miliony bladych gwiazd.

Podszedł do otwartego okna i wpatrując się w migotliwą przestrzeń chłonął ciszę nocy. Nagle odwrócił się i spytał niespodziewanie:

— Pamiętasz Zenka?

Odłożyłem na bok książkę i skinąłem głową na znak potakiwania, ale on nie patrząc na mnie dodał cicho:

— Szkoda chłopaka...

Poderwało mną:

— Jak to? Kiedy?

Tadek burknął tylko:

— Dzisiaj dostałem wiadomość... atak serca...

Podszedł do mnie i popatrzył mi prosto w oczy. Ujął moją dłoń w swoje ręce i zaczął opowiadać o Zenku. Że był cichy, lubiany, uczynny. Że nigdy nic nikomu nie odmówił. Że... Zrozumiałem go... Patrząc mu w oczy szepnąłem:

— Koledzy...

Przeniknęło nas wspólne uczucie - koleżeństwa, uczucie wiążące na wieki. Ścisnął tylko silniej moją dłoń i opowiadał. Narastały wspomnienia, podsycane boleścią, rodziły się wizje i obrazy.

Przestał opowiadać, milczeliśmy.

Po chwili Tadek spytał:

— A inni?

Puścił moje ręce i zaczął się przechadzać dużymi krokami po pokoju, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Podszedł do okna i zapatrzył się w migotliwą przestrzeń.

Po chwili ponowił pytanie:

— A inni?

Zaczęliśmy wspominać, przytaczać litanię nazwisk. Zapalił się — oceniał, krytykował, chwalił.

— Taki Jurek na przykład. Pasjonował go sport — uczęszczał na wszystkie mecze, przejmował się przegraną swoich faworytów. Sam uprawiał sport w miarę swoich możliwości, niestety osiągając mierne wyniki. „Phii, sportowiec" — mówili o nim z ironią inni fanatycy sportu. Była ich cała klika, pamiętasz? Siedzieli razem, czytając przeważnie pod ławkami sportowe gazety, zachłystując się osiągniętymi wynika-

mi. W pogardzie mieli każdego, kto osiągał przeciętne rezultaty, nie był „rekordzistą". Nie uznawali, nie rozumieli kolegę, który swój cały wolny czas poza szkołą poświęcał sportowi, uprawiając go — mimo miernych wyników — wytrwale i systematycznie, a przy tym — ucząc się bardzo dobrze. Jak to, nauka i — sport? Nie, to dla nich było zupełnie niezrozumiałe.

Albo taki Heniek. Napisał kiedyś kiepski wiersz. Od tego czasu każdy mówił o nim: nasz „poeta". Chodził napuszony i dumny, kiedy koło niego przechodzili sztubacy z niższych klas, wołając za nim: poeta! W skrytości ducha marzył o napisaniu wiersza, którym by wszystkich olśnił. Wiedział jednak, że go nie napisze, bo nie miał nawet odrobiny talentu. Przeglądając łamy pism literackich, wyobrażał sobie, jak będzie wyglądał jego wiersz...

— Mówisz o Heńku, wtrąciłem — sądzę jednak, że lepiej zrobi interesując się czymś, niż...

— Niczym?

— No, oczywiście! Powiedz sam, jak o tym sądzisz? Przecież lepiej, że zajmuje się czymś, co go pociąga, co go interesuje, choć by nawet wykonywał to kiepsko?

Milczał.

— Widzisz, dodałem — zamiłowanie. To dużo znaczy.

— No, tak, przyznał po krótkim wahaniu, po czym dalej mówił:

— Wiesz, mam uznanie dla Andrzeja. Podczas, gdy inni poświęcają swój czas dla siebie, on ofiarował te cenne chwile — kolegom. Był prezesem samorządu klasowego, kierownikiem społeczeństwa uczniowskiego. I mam dla niego uznanie za to, że nie zasklepiał się, a pracował dla innych...

Tadek przerwał na chwilę. Zaczął znów chodzić po pokoju, tam i z powrotem. Jak by chciał skupić myśli, później dodał:

— Było nas czterdziestu dwóch. Trzy rzędy drewnianych ławek wchłaniały sztywno odziane figury w granatowych mundurkach: koledzy! Każdy z nich miał inne upodobania, inne marzenia. Każdy wyżywał się w tym, co było najbliższe jego upodobaniom. Jedni byli fanatykami sportu, drudzy nie wiedzieli świata poza stertą kolb i próbówek. Inni...

Było nas czterdziestu dwóch, a dziś? Po roku porozchodzili się wszyscy — niewiadomo dokąd...

Umilkł. Zapadła cisza. Po chwili zerknął na zegarek i zawołał:

— Dziesiąta, muszę już iść!

A potem dodał ciszej:

— Dobrze tu u ciebie, przyjdę kiedyś...

Skinąłem głową na znak zgody.

Leszek Bartelski.



JAKIE OBRAZY CHCEMY WIDZIEĆ NA EKRANACH

Pamiętamy chyba wszyscy dobrze te czasy, kiedy to po manii sportu, młodzież (bez różnicy wieku) zaczęła interesować się filmem. Czasy te dziś należą do przeszłości, to też możemy teraz swobodnie pisać artykuły, prowadzić dyskusje na ten temat bez obawy o własną skórę, ponieważ już niewielu z uczennic i uczniów pozostało wiernymi X Muzie.

Niejednokrotnie miałem możność prowadzenia rozmów ze swymi kolegami na temat różnych filmów. Były to albo uwagi o obrazie ostatnio widzianym, albo zagadnienia czysto techniczne. Spośród tych wielu zdań, myśli i żądań dowiedziałem się o wymaganiach młodzieży co do filmu. Zaznaczyć tu muszę, że zdania te są różne i zależne od klasy i wieku ucznia. A więc jeżeli chodzi o klasy niższe, to prawie wszyscy moi rozmówcy z entuzjazmem wyrażali się o filmach z Flipem i Flapem, Patem i Patachonem, lub Charlie Chaplinem. (Co się tyczy tego ostatniego, to nie zauważają oni tej głębokiej prawdy, jaką kryje film chaplinowski). Innym znów rodzajem filmów pasjonujących naszych młodszych kolegów są filmy cowboyskie, w których dzielny i sprawiedliwy obrońca niewiast i słabych stacza zwycięzką walkę z Indianami, bandytami lub innymi „ciemnymi charakterami". Nie zdziwiłem się też, gdy oświadczono mi, że takich filmów musi być jak najwięcej.

Inaczej przedstawiają się zainteresowania klas wyższych. Widzowie ci potrosze interesują się sztuką, zaczynają krytykować grę artystów, reżyserię, ujęcie tematu it.p. Uczniowie w tym wieku zwracają uwagę na inne rodzaje filmów. A więc dramaty o podłożu społecznym, historyczne, miłosne i szereg innych. Spotkałem się także ze zdaniami, że potrzebna jest komedia, ale dobra, która by nie raziła widza swoją naiwnością.

Wszyscy jednak oświadczyli, że powinno się nakręcać filmy młodzieżowe, przedstawiające młodzież taką jaka jest. Powodzenie obrazów dotąd wyprodukowanych o tym temacie świadczy dobitnie o ich potrzebie. Młodzież bowiem po dramatach kryminalnych, kameralnych i erotycznych pragnie coś nowego, a tą nowością jesct film młodzieżowy.

Dużo się mówiło i mówi o roli jaką odgrywa film w nauczaniu, oraz o wpływie, jaki wywiera na młodzieży. Dość często czytamy w dziennikach o ucieczkach uczniów z domu w świat. Wypadki te kilkanaście lat temu spowodowane były czytaniem książek Jacka Londona i in. pisarzy. Dziś taki sam wpływ wywiera film. W celu udostępnienia młodzieży filmów wartościowych, a zabronienia takich, które by wywarły na nią ujemny wpływ, powstała cenzura filmowa szkolna.

Cenzura ta jest u nas niezwykle surową. Wystarczy jeden czy dwa fragmenty nieodpowiednie, a film staje się niedozwolony. Tak surowemu postępowaniu nie można nic złego zarzucić. Młodzież nic jeszcze nie straciła na tym, a odwrotnie zyskała, gdyż w ten sposób została uchroniona przed demoralizacją. Poza cenzurą istniejącą przy ministerstwie, film jest kontrolowany przez dyrektorów szkół, którzy każdej chwili mogą zażądać usunięcia pewnych scen. Oczywiście wielu z nas zaoponuje, że niesłusznie. Czy jednak?

W. Borsuk.

Brześć n/Bugiem Gimn. R. Traugutta.

„KRÓLEWNA ŚNIEŻKA"



Wytw.: Studia Walt'a Disney'a dla R. K. O. Radio.
Film: bajka kolorowa - rysowana
Język: dubing polski

Możemy powiedzieć, że „Królewna Śnieżka" otworzyła nowy rozdział w dziejach kinematografii. Jest to bowiem pierwszy pełno - metrażowy, 1½ godziny trwający, film rysunkowy. Głośno rozreklamowany, zapowiedziany jako sensacja, tak treściwa, jak i techniczna zawiódł pokładane w nim nadzieje. Fabuła, oparta na znanej bajce Grimma, jest raczej **pretekstem** do filmu, niż jego treścią. Nikogo nie wzruszają ani interesują losy Śnieżki, która po ucieczce od złej macochy zamieszkała u krasnoludków, a następnie dała się oszukać podstępowi czarownicy. Wątek ten miał za zadanie połączyć poszczególne sceny komiczne. Był złem koniecznym. Bo tylko i jedynie fragmenty wesołe, pełne beztroski rozbawionych karzełków są coś warte w tym filmie. Siedem karykaturalnych postaci krasnoludków — to ludzie w krzywym zwierciadle uwypuklającym ich wady i śmiesznostki. Lecz lustro to — ręka Walt'a Disney'a — nie jest zjadliwe, nie wyszydza i nie gani, ukazując, w odpowiednim momencie, iż nawet w karykaturze dobroć i uczucie zostaną tym, czym są — dobrocią i uczuciem. Krasnoludki bawią nas komizmem swych postaci, komizmem sytuacyj i „felerów" czysto zewnętrznych. „Gagi", często znane już z dodatków „Lilly Symphonies", są jeszcze raz śmieszne w tej interpretacji. Wesołości dodał im polski tekst dowcipnie opracowany przez Hemara. Szkoda tylko, że „podstawienie" języka, tzw. dubbing dalekie jest od doskonałości. Popularnie mówiąc „usta sobie — słowa sobie". Niedokładności te robią nienaturalne wrażenie; głos zdaje się być czymś oddzielnym, luźno doszczepionym do postaci. A postacie dobre są tylko wtedy, gdy są karykaturami (świetne sarenki i króliki); sylwetki bowiem ludzkie, jak Śnieżka i królewicz są sztywne, płaskie, za bardzo „rysowane". Co gorsza, niedbalstwo rysownika dopuściło, by n.p. rysy twarzy drgały i falowały, błąd dotychczas nie spotykany u Disney'a. Kolor, tę nową, jeszcze nie spowszechniałą zaletę kina, potraktowano zgoła po macoszemu. Nie mówię już o pastelach, czy barwnej grze światło - cieni; tego nie było zupełnie. Kolory wypadły wręcz fatalnie, za mocno, brudno, bez blasku i przejrzystości.

Staranne opracowanie wersji polskiej (reż. Ordyński) nie uratowało mierności technicznej filmu. Uratował go jedynie humor scen z krasnoludkami, zawarte w nich tempo i życie.

„Królewnę Śnieżkę" możnaby porównać do układanki z kolorowych kulek; leżą, jak są ułożone, ale nic nie przeszkadzałoby, nie wpłynęło na sam obraz, gdybyśmy zmięszali je i znów ułożyli w innej kolejności. Brak tu bowiem **myśli przewodniej**, idei łączącej luźne sceny w szereg. Dobre to z bajką Grimma, nie wyobrażam sobie jednak, aby tak można było wykonać filozoficzne wprost, pełne subtelności i półtonowych barw, opowieści Andersa. Tam, przez cały ciąg bajki, snuje się delikatnie zaznaczana myśl, która w zakończeniu ukazuje się jako synteza, do pewnego stopnia nawet morał, opowiadania.

Podobne motto miał i Grimm, lecz dziesiątki scenarzystów i reżyserów ze studia Disney'a, zagubiło je. Szkoda, bo film stał się jedynie zbiorem hec powybieranych z nadprogramówek. Mimo to, warto wydać parę groszy, by pośmiać się przez godzinę.

Zobaczcie to! **Wacław Podhorski - Okołów.**



„JAN"

Komedia w czterech odsłonach W. Bus-Feketego, w tłumaczeniu dr W. Jampolskiego.

Teatr miejski im. J. Słowackiego w Krakowie, wystawił komedię pt. „Jan", świetnego pisarza węgierskiego Bus-Feketego. Akcja rozgrywa się na Węgrzech w domu prezydenta rady ministrów, którego kamerdyner imieniem Jan, zostaje wybrany posłem do parlamentu, z łona opozycyjnej partii socjalistycznej.

Na domiar złego zamężna córka premiera, zakochała się w Janie, który zdążył w międzyczasie obalić rządy partii konserwatywnej z premierem na czele. Premier jednak w głębi swej szlachetnej duszy, przekonany o słuszności tego postąpienia, stawia kandydaturę Jana na ministra.

Jan rezygnuje z tego stanowiska na korzyść męża ukochanej, dzięki czemu chroni rodzinę od skandalu towarzyskiego. Rolę Jana powierzono nowo - zaangażowanemu p. A. Mrożewskiemu. Z zadania swego wywiązał się p. Mrożewski zupełnie zadawalająco, pomimo widocznej tremy.

Pani Hanna Brochocka, jako hrabina Katarzyna zawiodła niestety pokładane nadzieje i jako również debiutantka na scenie krakowskiej, nie zagrała nam tak, jak wymagała tego powierzona rola.

Pani Brochocka zapomniała, że na scenie nie popłaca krańcowo - nienaturalna poza, tymbardziej jeśli zawodzą warunki głosowe.

Matka hrabiny p. Klońska była miła w swojej roli. To samo możnaby powiedzieć o panu Fabisiaku, który znany nam już jest z całkiem różnego ujmowania swych ról.

P. Wroński zagrał b. poprawnie trudną rolę hrabiego Jerzego.

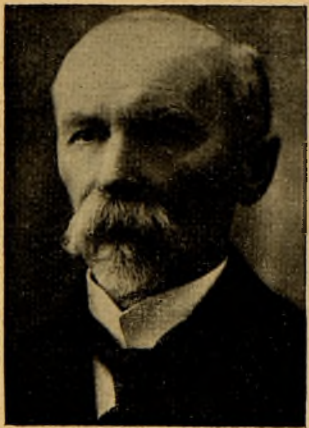
Z pomniejszych wykonawców wymienić należy: pokojówkę p. Bielską, p. Fuzakowskiego jako speakera radiowego i p. Kolwasa w roli kamerdynera, następcy Jana.

Reżyseria pana Karbowskiego nie „wyeksploatowała" — pod względem humoru należycie Bus - Feketego, a poszła po linii bardziej tragicznego ujęcia pewnych kwestyj, co spowodowało znużenie publiczności.

Dekoracje pana Gajewskiego b. dobre i oryginalne.

Jerzy Juszczyk
(Kraków — Liceum Admin)

ŚMIERĆ PROF. MARIANA ZDZIECHOWSKIEGO.



W zmarłym w Wilnie w dniu 5 października prof. M. Zdziechowskim straciła Polska uczonego o europejskiej sławie.

B. rektor i profesor honorowy Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, żywot swój poświęcił wyłącznie na usługi nauki i wiedzy. Z tymi połączył wyjątkowy afirmatyzm i zdolność oceny życia współczesnego. Nieprzeciętny talent pisarski pozwolił uczonemu na wzbogacenie rynku księgarskiego licznymi i cennymi dziełami z zakresu literatury jak i publicystyki.

Pamięć zmarłego uczcił Senat U. S. B. żałobnym posiedzeniem i cały Uniwersytet wzięciem udziału w pogrzebie, który odbył się w dniu 8 października.

JESZCZE O „GWIEŹDZIE POLSKI".

W chwili łamania numeru balon stratosferyczny ciągle jeszcze oczekuje „lepszych czasów". Pogoda zepsuła się zupełnie i nie wiadomo kiedy nasza ekipa będzie mogła wyruszyć na zdobycie nowych regionów powietrznych.

W numerze, który ukaże się po starcie balonu podamy korespondencję z Polany Chochołowskiej.

Komitet redakcyjny „Młodego Nurtu" prosi wszystkich zainteresowanych: Koleżanki i Kolegów o **nadsyłanie prac, zdjęć i projektów** do numeru poświęconego **20 leciu odzyskania Niepodległości Polski.**

Ze względu na bardzo duże trudności techniczne i decyzję ostatecznej formy i wyglądu pisma, prosimy o nieprzekraczanie terminu 26 października.

Zachęcamy do jak najliczniejszego udziału.

Komitet Redakcyjny „M.N." prosi wszystkich swoich korespondentów o nadsyłanie **rękopisów** przepisywanych **na maszynie** lub pisanych **bardzo wyraźnie ręcznie** i **po jednej stronie arkusza.** Nie stosowanie się do naszych próśb niezmiernie utrudnia i opóźnia pracę redakcyjną.

Sprostowanie: W numerze 2 (5) „Młodego Nurtu" wiersz ze strony 6 umieszczono pod nazwiskiem J. Krzeczkowski, zamiast J. Krzeczowski.

BUDUJMY SZKOŁY!

W dniu 2 października br. odbyła się uroczysta inauguracja V Tygodnia Szkoły Powszechnej i pięciolecia istnienia Towarzystwa Popierania Budowy Publ. Szkół Powsz. Na akademii w sali Rady miasta Warszawy uczestniczył w imieniu min. W.R. i O.P. wiceminister Ferek - Błeszyński.

Tydzień szkoły powszechnej naprowadza nas na tok smutnych refleksji. Oto ponad 600 tysięcy dzieci polskich pozbawionych jest dobrodziejstwa szkoły. Polsce potrzeba około 10 tysięcy izb szkolnych, żeby tymczasowo przynajmniej zapełnić istniejące luki. Towarzystwo P.B.P.S.P. boryka się z piętrzącymi się trudnościami, łamie je i idzie do społeczeństwa z wiarą, że ono nie odmówi mu swej wydatnej pomocy.

W tak doniosłej i ważnej sprawie nie wolno nam być obojętnymi. — Zrobiliśmy dużo, ale więcej jeszcze do odrobienia zostało. Różne pułki wojska, poszczególne gimnazja i klasy opiekują się bardzo wydatnie powstającymi szkołami i udzielają pomocy dzieciom z kresów i biednych zapomnianych wiosek.

I to rzeczywiście wiele, ale ciągle jeszcze nie wszystko.



„Bes" Tczew. Prośbę kolegi załatwiliśmy przychylnie. Szczegóły w liście. Numery do kolportażu przesłaliśmy.

Z. Ł. Mińsk Mazowiecki. Na propozycję Kolegi zgadzamy się, prosimy o przesłanie fotografii do legitymacji korespondenta. Przesyłamy pozdrowienie.

J. L. H. Łuniniec. Artykuł zatrzymujemy; uwagi kolegi są bez przecznie słuszne, nie wystarczy jednak stwierdzenie faktów, należy wyciągnąć wnioski i wskazać środki zwalczania zła. Oczekujemy na inne artykuły.

J. L. Łuniniec. Numery do kolportażu przesyłamy. Życzymy powodzenia w pracy.

A. W. Łódź. Za wyszukanie kolportera dziękujemy; numery przesłaliśmy. Ślemy pozdrowienie.

W. M. Kraków. Część materiału pozostawiliśmy do wykorzystania. Współpracę w każdej dziedzinie przyjmujemy b. chętnie. Przesłaliśmy list omawiający bardziej szczegółowo propozycję kolegi. Przesyłamy pozdrowienie.

A. S. Nowy-Targ. Za miłe słowa uznania dziękujemy. Artykuł nadesłany zatrzymujemy do wykorzystania. Oczekujemy na dalsze prace.

B. M. Nowy - Targ. Egzemplarze do kolportażu przesłaliśmy. Życzymy powodzenia w pracy.

Koleżankom i Kolegom gimn. im. Sew. Goszczyńskiego w Nowym - Targu przesyłamy wzajemne pozdrowienia.

E. M. Kraków. Artykuł zatrzymujemy do wykorzystania, na współpracę z kolegą zgadzamy się chętnie. Czekamy na materiały i przesyłamy pozdrowienia.

J. W. Toruń. Nadesłany materiał przekazaliśmy „sportowi szkolnemu". Legitymacje wysłaliśmy. Numery niesprzedane należy zwrócić.

Ewi. Lwów. Cieszy nas popularność Młodego Nurtu na terenie Lwowa. Nadesłany materiał zatrzymujemy. Przesyłamy pozdrowienia.

Bronka z Krakowa. Prosimy o podanie adresu. Przesyłamy koleżeńskie pozdrowienia.

SPORT

Cała Polska wyrazami prawdziwego entuzjazmu i łzami szczerej radości wita przywróconych Ojczyźnie rodaków zza Olzy. Prasa sportowa nie pozostała w tyle za innymi. Oto słowa powitania z nr. 8 „Sportu Szkolnego", które są nam specjalnie bliskie, jako skierowane do młodzieży szkolnej:

„Gdy cała Polska rozbrzmiewa radosnymi okrzykami powitania w granicach swego państwa — własnej, prastarej połaci ziemi zaolzańskiej — my, młodzież sportowa, przez swoje młode pismo ślemy rówieśnikom zza Olzy gorący i serdeczny uścisk dłoni.

Witamy w swych szeregach dzielnych kolegów, co twarde swe lata szkolne przechodzili z nieustannym mocnym hasłem: „Śląsk nasz musi być polski"...

— — —



Walasiewiczówna prowadzi defiladę.

Olbrzymim, jak zwykle przy końcu sezonu, zainteresowaniem cieszą się rozgrywki o wejście do Ligi piłki nożnej, które każdej niedzieli gromadzą tłumy miłośników sportu piłkarskiego na trybunach naszych czołowych klubów.

Rozgrywki te częściowo zostały już rozstrzygnięte, albowiem Ruch niemal napewno zdobywa tytuł mistrza, z Ligi spadają ŁKS i najpewniej K.S. Śmigły, zaś do Ligi zakwalifikowały się Union Touring z Łodzi oraz Garbarnia z Krakowa.

— — —

Na mistrzostwach jeździeckich Polski pierwsze miejsce w skokach zajął por. Skulicz na Aronie, przed ppłk. Rómlem na Dyngusie, zaś w próbie ujeżdżania konia kpt. Radzikowski na Derwiszu przed rtm. Rojcewiczem na Tajfunie.

— — —

Na zakończenie sezonu lekkoatletycznego odbyły się zawody w konkurencji maratonu, będące finałem walki o drużynowe mistrzostwo Polski. Zwyciężył Marynowski (Warszawianka) w czasie 2,50,29.

W ostatecznej więc klasyfikacji drużynowe mistrzostwo Polski zdobył K. S. „Orlęta" — Dęblin, na drugim miejscu uplasowała się Warszawienka; w konkurencji kobiecej zwyciężyła Warszawianka przed Stadion - Chorzów.

— — —

Najszybsza kobieta świata, Stanisława Walasiewiczówna opuściła w tych dniach Polskę. Powraca ona do swej przybranej Ojczyzny, przebywając po raz dwudziesty z rzędu trasę Gdynia — Ameryka.

Walasiewiczówna startowała wielokrotnie w czasie swego pobytu w kraju w całym szeregu miast prowincjonalnych, wyrównując i bijąc swe rekordy; położyła również ogromne zasługi przy treningu naszych zawodniczek, szczególnie przed mistrzostwami Europy w Wiedniu. Jest kandydatką do Wielkiej Nagrody Honorowej.

— — —

Przed kilkunastu dniami Finlandczyk Taisto Maeki pobił rekord świata na 10 km, uzyskując fantastyczny czas 30,02,0 sek. Już tylko 2 sekundy dzieli ambitnego Finna od granicy, którą niedawno uważano za szczyt możliwości ludzkich, podobnie jak 8 metrów skoku w dal, lub 10,2 sek. na setkę.

Nasz mistrz olimpijski Janusz Kusociński osiągnął na tym dystansie czas 30,15,3, który dotychczas jeszcze pozostał rekordem olimpijskim.

— — —

Drużyna piłkarska kontynentu europejskiego, która walczyć będzie dnia 26 października w Londynie z reprezentacją Angli, oparta będzie na szkielecie reprezentacji mistrzowskiej drużyny świata — Włoch. Italia ma być reprezentowana w drużynie europejskiej aż przez 6 zawodników, z drużyny szwajcarskiej są brani pod uwagę dwaj gracze, z Węgier trzej, z Francji jeden, zaś — z Niemiec bramkarz. Dnia 23 bm. drużyna europejska już w ustalonym składzie ma rozegrać mecz trenigowy z reprezentacją rezerwową Holandii.

— — —

W Szwajcarii toczy się wielka batalia pomiędzy Związkiem Piłki Nożnej a władzami szkolnymi o wprowadzenie nauczania gry w piłkę nożną, jako przedmiotu obowiązkowego na równi z geografią czy łaciną.

Ponieważ Związek od szeregu lat walczy bardzo konsekwentnie ze starymi przesądami, należy się spodziewać wkrótce zwycięskiego wejścia piłki nożnej do szkolnych programów. **er.**



Rudnicki, bramkarz Warszawianki, w wielkiej formie.

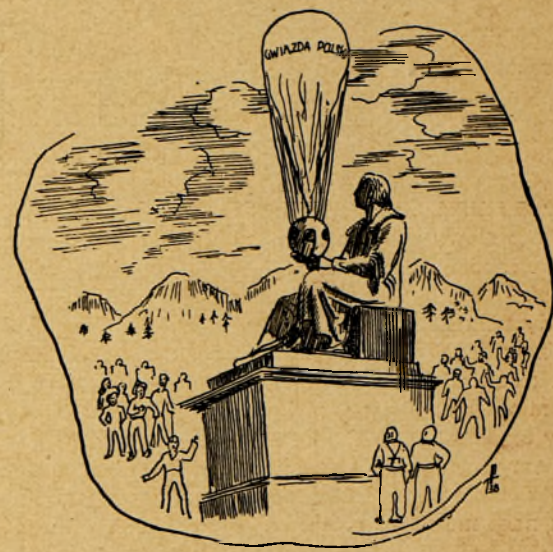
CZYM BY BYLI GDYBY ŻYLI?

SOBIESKI
Dowódca Ochotniczego Korpusu Zaolzańskiego



Żołnierze! Oto będzie mój drugi Wiedeń!

KOPERNIK
Kierownik polskiej wyprawy stratosferycznej



Rodacy! Musimy wstrzymać się z odlotem, bo pogoda i nasza załoga są jeszcze w „równowadze chwiejnej".

CHOPIN
Komendant LOPP odwodu Łazienkowskiego



Lotnik! Kryj się pod drzewa!, gdy dzwonię w tonacji B-mol.

MICKIEWICZ
Prezes Kongresu Dziecka



Pójdźcie o dziadki, pójdźcie wszystkie razem. Witam was w zwartej masie 5½ milionowej, szkoda tylko, że was nie ma 40 i 4 miliony.

„Młody Nurt" w każdej szkole!

REDAKTOR: Bolesław T. Łaszewski. WYDAWCA: „Instytut Wydawnictw Współczesnych".

Prenumerata roczna (10 miesięcy) — zł. 2,80, kwartalnie — 0,85. Numer pojedyńczy 15 gr. Konto rozrachunkowe nr 362.

Ceny ogłoszeń: 1/1 — 500 zł; 1/2 — 275 zł; 1/4 — 150 zł; 1/8 — 80 zł.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Myśliwiecka 5. Codziennie od 10—14, ponadto we wtorki i piątki od 16.30—18.30.
Tel. Redakcji i Administracji 9-95-62.

Drukarnia »Społeczna«, Warszawa, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80.